№ 47. Warszawa, 26 listopada 1921. Cena 80 mk. Rok II.

TYDZIEŃ POLSKI

Wobec kampanji bolszewickiej.

„W Polsce istnieją dwa rządy", — teza ta, uporczywie rozwijana na łamach „Izwiestji" i „Prawdy" przez naczelnego publicystę międzynarodówki moskiewskiej, Karola Radka, z prasy czerwonej przeszła nawet do rozkazów naczelnego wodza armji czerwonej — Trockiego.

W rozkazie do armji czerwonej z dnia 10 listopada, który wywołał już energiczny protest naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czytamy:

„Każdy czerwonoarmista powinien wiedzieć, że w Polsce nie jeden rząd, a dwa. Jeden — oficjalny, jawny, występujący w parlamencie, prowadzący pertraktacje, podpisujący umowy, drugi — nieoficjalny, mający oparcie w znacznej części oficerstwa z tak zwanym Naczelnikiem Państwa Piłsudskim na czele. Za plecami tajnego rządu stoją skrajni imperjaliści francuscy. Wówczas, gdy oficjalny rząd polski pod naciskiem nietylko mas pracujących, lecz i szerokich kół burżuazyjnych, zmuszonym jest dążyć do pokoju z Rosją Sowiecką, prowokatorzy polskiego sztabu ze wszystkich sił starają się wywołać wojnę."

I wniosek stąd ten, że czerwona armja powinna być przygotowaną do wojny na wiosnę, albowiem „niewiadomo kto w ciągu zimy zwycięży w Polsce: zwolennicy pokoju, czy też występni podpalacze."

Otóż cała ta publicystyka w rozkazie do armji ma na celu przedewszystkiem przygotować w Rosji Sowieckiej masy do wojny z Polską, przedstawiając sprawę w ten sposób, że rząd sowiecki chce pokoju za wszelką cenę, ale ciągle jest prowokowany przez polskich „podpalaczy."

„Rząd Sowiecki — pisze Radek („Prawda" z dnia 9 listopada), — *może prowadzić wojnę w tym tylko razie, jeżeli masy są przekonane, że Rosja znajduje się w stanie obrony.* Gdyby nawet rząd sowietów był o tyle awanturniczym, że nie zważając na ciężki stan ekonomiczny, szukał by nowych awantur, nie mógł by tego uczynić bez prowokacji ze strony Belwederu."

Otóż te słowa Radka w zupełności tłomaczą całą tę kampanję prasowo-dyplomatyczno-proklamacyjną: rząd sowietów, który nie może utrzymać się w stanie pokoju, bo pokój w całej nagości ukazuje jego bankructwo ekonomiczne i polityczne, musi prowadzić wojnę, ale jednocześnie z tem prowadzić wojnę może tylko w tym wypadku, jeżeli uda się w masy wpoić przekonanie, że Rosja jest napadniętą i musi bronić się.

A ponieważ wobec jaknajdalej idącej ustępliwości rządu polskiego, trudnem było by przekonać kogo w Rosji, że Polska prowokuje Rosję Sowiecką i zmusza ją do wojny, więc wpaja się przekonanie, że ten rząd oficjalny nie jest prawdziwym rządem, że za nim stoi ukryty inny rząd, który dąży do wojny z Sowietami.

Rozkazy Trockiego przeznaczone są do użytku wewnętrznego, noty sowieckie i komentarze Radka przeznaczone na eksport: dla Polski i zagranicy wogóle.

W cytowanym już artykule K. Radek pisze:

„P. Skirmunt z dumą hiszpana (!?) oświadcza, że w Polsce rząd jest jednolity. P. Skirmunt może nadrabiać miną, ile mu się podoba, ale zapewnienia jego o jedności władz polskich wywołają śmiech w całym świecie i w Polsce samej."

Radek powołuje się przytem na artykuły „najwięcej wpływowego dziennika burżuazyjnego w Polsce" i na rzekome sprawozdanie posła angielskiego o stosunkach między ul. Miodową a Belwederem, które to sprawozdanie K. Radek jakoby ma w ręku i w każdej chwili może ogłosić w prasie rosyjskiej i angielskiej. Fanfaronada ta, obliczona, z jednej strony na zaostrzenie naszych walk partyjnych, a z drugiej—na wywołanie

konfliktu dyplomatycznego między naszem Ministerstwem Spraw Zagranicznych a poselstwem angielskiem, nie może z pewnością mieć następstw poważnych. Dyplomacja europejska z pewnością nie pójdzie na haczyk K. Radka, a nasze stronnictwa polityczne pomimo całej pożałowania godnej zaciekłości w walce partyjnej, walkę tę jednakże prowadzą w płaszczyźnie, do której nie dochodzą podszepty K. Radka. I gdyby akcja bolszewicka mierzyła tylko w opinję wyrobionych politycznie sfer społeczeństwa, można by ją ze spokojnem sumieniem ignorować. Ale tak nie jest.

Akcja bolszewicka jest właśnie obliczoną na nieuświadomione a niezadowolone szerokie warstwy społeczne. Argumenty i hasła, rzucane w notach sowieckich i w prasie komunistycznej, to tylko materjał przeznaczony dla agentów na szeroką skalę zakreślonej agitacji wywrotowej w Polsce. Agitacja ta obficie zasilana i kierowana z Moskwy, nie jest już prowadzona otwarcie pod zbankrutowanemi hasłami komunistycznemi i korzysta ona z każdego niezadowolenia, z każdego konfliktu dla zaostrzenia antagonizmów klasowych, dla powiększenia zamętu i nieładu w organizacji państwowej, dla osłabienia powagi rządu, a celem ostatecznym całej tej planowo prowadzonej roboty jest podkopanie Państwa Polskiego, które stoi na drodze Rosji Sowieckiej.

Niedawno tenże Radek ostrzegając polskich komunistów przed przedwczesną próbą przewrotu, która z pewnością nie udała by się, zaleca wykorzystywać każdy moment dla agitacji i występować na każdem zebraniu legalnem.

— „Żadne zebranie polskie, przez jaką bądź partję zwołane, nie powinno przejść bez udziału polskich komunistów: powinni oni występować nie bacząc na wielkie przeszkody policyjne. Niech wspomną komuniści polscy, jak to my w 1906 r. w czasie wyborów do 1-ej Dumy Państwowej, zapełnialiśy sale zebrań urządzonych przez partje burżuazyjne“. („Prawda“ z dnia 20 Października).

Dla przemówień komunistycznych na takich zebraniach, zwołanych przez inne partje, bajka o dwóch rządach polskich, z których jeden pcha do wojny kraj, jest wybornym tematem.

Nie zdajemy sobie sprawy z całego ogromu i z prawdziwego charakteru tej roboty destrukcyjnej, prowadzonej w Polsce za pieniądze bolszewickie. Akcja ta, tak samo, jak akcja niemiecka na froncie rosyjskim w r. 1917, nie ma nic wspólnego z jakąś walką rewolucyjną w imię idei. Najgorsze wyrzutki społeczne, które zawsze w każdem społeczeństwie istniały, a których zastępy wojna światowa i przewroty państwowe pomnożyły do niewidzianych nigdy przedtem rozmiarów, idą do tej roboty, niosącej zagładę kultury, pracy, prawa, moralności. Ponury ocean wschodni, choć owiany już chłodem śmierci, nie zamarzł jeszcze, jeszcze faluje, a fale te uderzają o brzeg polski.

Jak walczyć z tem niebezpieczeństwem?

Nie pomogą tu żadne ustawy wyjątkowe, których projekty wywołały słuszne i uzasadnione protesty, jeżeli społeczeństwo w zrozumieniu tego niebezpieczeństwa nie ocknie się samo do walki planowej i solidarnej ze złem, tworząc pomimo waśni partyjnych front jednolity wobec inwazji bolszewickiej, która w zmienionej postaci trwa nie zważając na Pokój Ryski.

Minister Darowski o katastrofie repatrjacyjnej.

Minister Pracy i Opieki Społecznej p. Ludwik Darowski, który udał się do Baranowicz, Stołbców i Kołosowa dla zbadania na miejscu rozpaczliwej sytuacji uchodźców, powracających z Rosji, udzielił przed wyjazdem redakcji „Tygodnia Polskiego“ następujących wyjaśnień w tej sprawie, która tak poruszyła opinję publiczną.

Pierwszą i główną przyczyną tego wprost katastrofalnego stanu, w jakim znajduje się obecnie repatrjacja naszych uchodźców z Rosji, jest taktyka władz sowieckich, które od samego początku traktowały tę sprawę z punktu widzenia agitacyjnego. Wbrew wszelkim umowom Rosja Sowiecka i dziś patrzy na uchodźców, jako na objekt agitacji, świadomie usiłuje zdemolować polski aparat repatrjacyjny, aby skompromitować w oczach powracających uchodźców państwo polskie. Wobec tego nie można wykonać żadnego planu repatrjacji. O złą wolę naszego kontrahenta rozbijają się nasze wysiłki, mające na celu racjonalne planowe przeprowadzenie akcji repatrjacji.

Drugą przyczyną tej katastrofy jest brak środków. Potrzeba olbrzymich kosztów, aby w należyty sposób przyjąć, rozlokować, odżywić, odziać masy ludzi, którzy już na granicę naszą przybywają w stanie zupełnego wyniszczenia, chorzy, głodni, obdarci. P. Darowski podkreśla, że dla należytego zorganizowania akcji pomocy naszym uchodźcom na granicy potrzeba nie dyktatora, o którym mówią, bo dyktatura już była i nie wiele pomogła, ale właśnie olbrzymich kosztów, gdyż brak wszystkiego, począwszy od personelu, a kończąc na najniezbędniejszych przedmiotach. Dla tego, — powiada p. Darowski, — bardzo mię cieszy, że p. Minister Skarbu też jedzie na granicę i osobiście sprawdzi rozmiary klęski, która wymaga wielkiego i natychmiastowego wysiłku skarbu.

Komisja, do której wchodzą przedstawiciele ministerstw skarbu, spraw wewnętrznych, spraw wojskowych i kolei, po zbadaniu sprawy na miejscu, nakreśli plan działania celem radykalnej naprawy sytuacji, ale już teraz na konferencji w sprawie unormowania ruchu repatrjacyjnego na szlaku Stołbce — Baranowicze powzięte zostały następujące decyzje:

1) W drodze dyplomatycznej kategorycznie zażądać od Rządu Sowieckiego przeniesienia punktu odbiorczego dla transportów repatrjacyjnych z Kołosowa do Stołbców, gdzie są w dostatecznej ilości budynki, które mogą służyć schroniskiem dla uchodźców;
2) na wypadek, gdyby sprawa przeniesienia punktu odbiorczego do Stołbców przeciągnęła się, należy na stacji Kołosowo ułożyć nową bocznicę dla pociągów sanitarnych i wybudować rampy lub namioty dla repatrjantów;
3) uregulować rozkład pociągów, koordynując pracę władz kolejowych i punktu wymiany celem więcej szybkiego odwożenia repatrjantów;
4) uruchomić niezwłocznie dwa sanitarne pociągi wahadłowe;
5) otworzyć węzłowy szpital epidemiczny w Baranowiczach.

Są to natychmiastowe zarządzenia, które nie wyczerpują całego ogromu zadania. Po naprawieniu sytuacji w Baranowiczach, natychmiast te same zarządzenia będą zastosowane i w Równem.

Kończąc rozmowę, p. Darowski zwrócił uwagę na to, że społeczeństwo, które oskarża rząd o zaniedbanie sprawy uchodźców, samo jednakże nie śpieszy z pomocą nieszczęsnym repatrjantom.

Uderzającem zjawiskiem w naszych stosunkach powojennych,—mówi minister opieki społecznej,—jest zanik kompletny tej samorzutnej akcji ratowniczej, na jaką zdobyło się społeczeństwo polskie w czasie wielkiej wojny, stwarzając potężne i sprężyste organizacje dla niesienia pomocy uchodźcom. Dziś, kiedy dokonywa się ostatni akt tragedji polskiego uchodźstwa, społeczeństwo polskie zdradza dziwną obojętność. Wszystko, co robią dziś w tym zakresie organizacje społeczne („Czerwony Krzyż", „Biały Krzyż", Komisja Pomocy jeńcom i uchodźcom) jest minimalne, wprost mikroskopijne. Czerwony Krzyż naprzykład, w Baranowiczach wydaje tylko 1000 szklanek herbaty, pracuje 17 osób. Nie tak pracowały organizacje polskie w czasie wojny.

Rząd ma dużo jeszcze do zrobienia w akcji repatrjacyjnej, ale i społeczeństwo też powinno przyjść z pomocą.

O stosunkach w wojsku.

Co pewien czas pojawiają się w prasie naszej artykuły krytykujące stosunki panujące w wojsku.

W zasadzie nie można wzbraniać ani potępiać poruszania i oświetlania tych spraw. Opinja publiczna ma prawo, ma nawet obowiązek czuwania nad wszystkiemi zjawiskami, które mają ogólno-narodowe znaczenie, a cóż może być ściślej związane z dobrem narodu, jak jego wojsko, gwarancja siły państwa na wewnątrz i zewnątrz? Jak zbawienną może być taka krytyka publiczna, świadczyć może przykład z niedalekiej historji. W Niemczech, jeszcze stosunkowo niedawno, bo jakieś 20 i kilka lat temu, fakty znęcania się oficerów nad żołnierzami były niesłychanie częste, a kary polegały zbyt często tylko na translokacji oficera i wstrzymaniu awansu na czas ograniczony. Łatwo sobie wyobrazić, jak zawodną była „służbowa droga" dla wykrywania i poskramiania tych przewinień! Gdyby nie głośne alarmy w prasie, gdyby „cywile" niezależni, chronieni swobodami konstytucyjnemi, nie byli pociągali winnych do odpowiedzialności przed opinję publiczną, nigdyby nie było doszło do sanacji, która jednak okazała się tak gruntowną, że nawet wybuch rewolucji nie wywołał w armji niemieckiej aktów zemsty szeregowców nad oficerami. Nie należy sobie zresztą wyobrażać, że hamując wyraz niezadowolenia, zahamuje się i samo niezadowolenie i jego ujemne następstwa. Jednem z nich może być stronienie od zawodu wojskowego, drugiem upadek sympatji dla wojska, zdyskredytowanie munduru i t. d. Czego drukować nie wolno, to można jeszcze mówić, a rzeczy mówione są o tyle niebezpieczniejsze, że nie podlegają krytyce i sprostowaniu, że żadnej nie pociągają za sobą odpowiedzialności. Zamiast polemiki — plotka, na jej tle oszczerstwa i potwarze — toć to przecie dosłownie spadanie z deszczu pod rynnę.

Choć w zasadzie dopuszczalna, nie każda jednak krytyka jest chwalebna i pożyteczna; bywa i taka, którą wręcz do szkodliwych zaliczyć trzeba, a z tą spotykamy się niezmiernie często w artykułach o sprawach wojskowych.

Punktem wyjścia dla tej szkodliwej krytyki nie jest dbałość o wewnętrzne zdrowie armji, lecz obrona jednej jej części przeciw drugiej, zaprawiona nieraz tendencją do przeciągnięcia malkontentów na swoją stronę, to jest na stronę pewnej partji, kliki, czy grupy osób.

Otóż zwrócić tu należy uwagę, że z natury rzeczy kaptowanie sobie stronników wśród wojska jest działalnością antypaństwową, bez względu na to, kto się jej dopuszcza: partja, klasa społeczna, czy jednostka. Armja nie powinna służyć żadnym innym interesom prócz państwowym, wskazywanym i ustalanym przez prawowitą władzę kraju. Bez względu na zmiany osób i kierunków panujących, każdy rząd, który legalną, konstytucyjną drogą do władzy doszedł, musi mieć bezwzględne oparcie w sile zbrojnej, musi na nią módz liczyć i na niej gruntować powagę państwa na zewnątrz. Dlatego to wojsku politykować nie wolno, choć każdy wojskowy — poza służbą — musi mieć pełne prawo wyznawania takich politycznych i społecznych poglądów, jakie mu do przekonania trafiają.

Podwójnie szkodliwem jest podjudzanie jednej części wojska przeciw drugiej, t. j. tworzenie stronnictw i rozłamów w wojsku samem, — jest ono bowiem urabianiem ducha wojska do bratobójczej walki domowej, która przecież i dla kraju i dla jego armji jest największą klęską.

Świadomie czy nieświadomie do klęski tej popychają ci, którzy wciąż jeszcze w armji polskiej nie widzą jednej i niepodzielnej organizacji lecz składowe części, z których ona powstała.

Z góry zastrzedz muszę, że o ile znam stosunki panujące w wojsku, nie widzę wcale, aby tego rodzaju propaganda mogła w niem znaleźć grunt podatny — i ktokolwiekby chciał na takich urojonych antagonizmach fundować swoje polityczne spekulacje, bezwzględnie narazi się na zawód. Braterstwo broni, koleżeńskie współżycie w pułkach, w których różne składowe żywioły przemięszały się gruntownie, wytworzyły znacznie silniejsze poczucie jedności w armji, niż w narodzie, w którym dziś jeszcze walka partji usilnie wskrzesza tradycje różnic orjentacji z przed wojny i czasu wojny. Żadna grupa oficerów nie widzi wroga w żadnej innej grupie, żadna nie byłaby też zdolna przeciw innej wystąpić do walki. Stąd nie wynika bynajmniej, aby wszystkie typy kolegów czy dowódców cieszyły się równą sympatją i powagą, lecz że bliższa znajomość nauczyła indywidualizować zarzuty i pochwały, nie obdzielać niemi hurtownie pewnych formacji wojskowych. Sąd ten potwierdza w zupełności taki gruntowny znawca stosunków, jak pułkownik dr. Marjan Kukiel w swej pracy drukowanej w Bellonie: „Z doświadczeń wojny 1920 r. na Ukrainie".

Przykładem takiego niedopuszczalnego wznawiania rozłamów i powierzchownego a stronniczego uogólniania zarzutów i pochwał jest artykuł „Rzeczypospolitej:" „Rutynowani zacofańcy a wybitni dyletanci". Autor dzieli tam bez ceremonji oficerów polskich na „zawodowych" i „legjonowych"; pierwsi — ponieważ wyszli z armji zaborczych —

są w jego mniemaniu użytecznymi fachowcami; drugim bez wyjątku zarzuca nieuctwo i dyletantyzm. Pierwsi winni zajmować stanowiska kierownicze, drudzy podwładne. Jest to — istotnie — zbyt prymitywne ułatwianie gry i zbyt śmiała rachuba na krótką pamięć czytelników, którzy przecież mieli sposobność stwierdzić w ciągu wojny liczne fakty obalające ten pogląd.

Przedewszystkiem mylnem jest twierdzenie, jakoby w Legjonach nie było wojskowych zawodowych. Do tego ochotniczego wojska (tak samo zresztą jak ongi w 1863 r.) zgłosili się od pierwszej chwili Polacy z regularnej armji, porzucając łatwą i szybką karjerę w armji zaborczej dla wiele mniej obiecującej lecz milszej stokroć służby w zawiązku wojska polskiego. Dość wymienić nazwiska generała Zielińskiego, dwóch braci Zagórskich, Durskiego (ojca i syna). Generał Haller, generał Barbecki mieli także poza sobą dłuższe studja wojskowe a ten ostatni prócz tego i praktykę bojową z wojny rosyjsko-japońskiej. Dodać należy, że dowództwo Legjonów było zawsze w ręku zawodowego wojskowego wyższej rangi (Durski, Puchalski, Szeptycki, Zieliński), a ich organizacja i wyszkolenie, ściśle wzorowane na nowoczesnej armji regularnej, w której skład Legjony wchodziły. Wojenne losy Legjonów układały się w ten sposób, że awanse oficerskie były w nich znacznie powolniejsze, niż w armjach regularnych. Tam bowiem, gdzie przyspieszony pobór roczników rekruckich zasila wciąż armję surowym materjałem żołnierskim, zapotrzebowanie oficerów tak szybko wzrasta w czasie wojny, że kształcenie i awansowanie odbywa się w przyspieszonem tempie, a żaden inteligent nie jest narażony na służenie w szeregach dłużej niż rok najwyżej. Jak w każdem ochotniczem wojsku, w Legjonach przeważała inteligencja, to też tam ludzie ze średniem lub wyższem wykształceniem służyli po trzy lata jako szeregowcy i wiele cennego materjału oficerskiego marnowało się z braku wakansów, póki niepodległa Polska nie zdecydowała się wreszcie na przeprowadzenie rekrutacji.

Po dwuletnim pobycie na froncie, w okresie zmagań się i wahań w naszej wewnętrznej i zewnętrznej polityce, w okresie kłótni i walk partyjnych o wojsko, legjoniści przechodzili okres intensywnego szkolenia. Przyswoiwszy sobie naprzód system austrjacki, uczyli się następnie niemieckiego, a gdy wreszcie powstało wojsko polskie i sprzymierzona Francja przysłała nam swoją misję wojskową, zaczęli studjować metody francuskie z tem lepszymi rezultatami, że posiadali już i pewne miary porównawcze i odpowiednie przygotowanie. Nie jest to chyba rzeczą przypadku ani specjalnej stronniczej tendencji, że na wszystkich kursach organizowanych, inspirowanych i w znacznej mierze kierowanych przez tę misję, słuchacze legjoniści przy egzaminach przeważnie otrzymują najlepsze lokaty.

Czy to znaczy, że między legjonistami niema dyletantów, próżniaków i nieuków? Bynajmniej; jednakże jest tam także obok nich znaczny procent zawodowców z istotnego powołania i zamiłowania. Zresztą ten rys jest również wspólny wszystkim formacjom ochotniczym; przypomina on naprzykład obserwacje pułkownika Glasson, Szwajcara, który służył we francuskiej legji zagranicznej i po wojnie wygłaszał o niej odczyty w swej ojczyźnie.

Z tego, co poprzednio powiedziano, wynika już, że „dyletanci“ mogą się dziś trafiać dość gęsto i wśród tych oficerów polskich, którzy wyszli z armji zaborczych, którzy się w nich— dzięki wojnie — szybkich dosługiwali awansów, a dostali się do nich wbrew swojej woli, wbrew uczuciu i przekonaniu, skutkiem czego z czystem sumieniem unikali frontu i jego niebezpieczeństw, nie mając ochoty krwi przelewać za obcą sprawę.

Możnaby odeprzeć, że zarzut „dyletantyzmu“ mógłby dotyczeć tylko oficerów niższych stopni, nie zaś tych, co długie lata spędziwszy w wojsku już przed wojną osiągnęli w obcych armjach wysokie stanowiska.

Zachodzi jednak pytanie, czy tam zawsze w czasie pokoju talent i zasługa torowały drogę do tych stanowisk, oraz czy we wszystkich trzech armjach zaborczych można było przyswoić sobie równie wiele cennych fachowych umiejętności. Wartość tych armji okazała się bardzo nierówna, a niektóre braki i wady wewnętrznej organizacji, w czasie pokoju znane bliżej tylko wtajemniczonym,—w ciężkich próbach wojny światowej stawały się nieraz bezpośrednią przyczyną strasznych a niespodziewanych klęsk.

I jedno jeszcze należy brać pod uwagę: Ostatnia wojna przyniosła tyle nowych doświadczeń i technicznych wynalazków, że przeobraziła gruntownie postać i charakter walki. Kto nie przyswoił sobie nowych metod, kto nie zaznajomił się z ich teorją i techniką, ten—choćby był przed wojną wybitnym fachowcem — przejdzie dziś do rzędu nieuków i dyletantów. W sztuce wojskowej obecnej, z wyższej mierze, niż w każdej innej dziedzinie, kto przestanie się kształcić, przestanie być wykształconym. W armji o tak dawnych i wspaniałych tradycjach, jak francuska, uznano tę prawdę w całej pełni i wyprowadzono z niej należyte konsekwencje: oficerowie wszelkich, nawet najwyższych stopni są dziś zobowiązani kształcić się nieustannie, o ile zamierzają nadal w armji czynnej pozostać.

Tylko za tę cenę można tam zdobyć i utrzymać opinję fachowca. Ten zdrowy i pożyteczny punkt widzenia zaszczepiają Francuzi i naszemu początkującemu wojsku;—jestto może najcenniejsza zdobycz, którą tym sprzymierzeńcom zawdzięczamy, należy ją przyjąć z największą skwapliwością i zawzięcie tępić wszystkie przeciwne przesądy.

Trzeba się uczyć — już minął wiek złoty. Ani z natchnienia, ani z pochodzenia, ani z koleżeńskiej życzliwości, ani przez dziennikarską reklamę—nie można zostać zdolnym wodzem— tak samo zresztą jak wielkim muzykiem lub znakomitym lekarzem.

Można jednak różnemi drogami dojść do stopnia kapitana, majora, pułkownika — nietylko zresztą w armji polskiej. Bardzo ciekawe i oryginalne fakty cytowano i z innych krajów, bądź to z dalszej, bądź z bliższej przeszłości. Każdy taki fakt nominacji, nieuzasadnionej żadnemi wojskowemi względami, musi wywoływać krytykę tych, którzy o dobro kraju i honor armji dbają. Fakty takie—i to również stwierdzić można przykładami— trafiają się wśród wojskowych wszystkich byłych formacji i z poza wszelkich formacji, gdyż cza-

sem szczęściarzem jest i cywil, który zdążył się zestarzeć nie wdziawszy munduru ani razu (chyba w amatorskim teatrze), a jednak dożył tej pociechy, ze czapką z orzełkiem i gwiazdkami wnukom na pamiątkę zostawi. Taka lekkomyślna zabawa starych dzieci w wojsko powinna być poskramiana i tępiona, gdyż jej dalsze i głębsze następstwa bynajmniej zabawne nie będą. Do najzgubniejszych jednak należałoby wyzyskiwanie jej dla wszczynania gry partyjnej i rozdmuchiwania zawiści, obejmującej winnych i niewinnych kolegów z jakiejś rzekomo uprzywilejowanej grupy.

R.

Próba ocknienia mieszczaństwa.

W Grudziądzu zaczęło wychodzić od 1-go listopada czasopismo „Mieszczanin", organ stronnictwa mieszczańskiego na Pomorzu. W wstępnem słowie podkreśla redakcja, że nasz stan trzeci nie organizuje się, aczkolwiek inne rozwinęły gorączkową działalność i opierając się o silne zrzeszenia partyjne, pragnęłyby trzymać burżuazję „bez końca w niewoli". Zadaniem tego liczebnie i jakościowo poważnego odłamu społecznego jest spełnienie obowiązku: „praca z Bogiem dla miast pomorskich i praca dla Polski". Zamierzeniom powinien przyświecać program boju o „ład, sprawiedliwość i porządek", o byt na odwiecznej, gniazdowej ziemi narodu. Celem stronnictwa jest zespolenie wszystkich mieszczan w byłym zaborze pruskim w obronie swego stanu, wytężenie wysiłków nad spolszczeniem miast i rozwijanie ich twórczych starań, usuwanie lękliwości i bezczynności w sprawach społecznych i państwowych, podnoszenie ducha obywatelskiego na zasadach religijnych i patrjotycznych. Mieszczaństwo — jak mówi się w dalszym ciągu programu — przeciwstawia hasłu socjalistycznemu walki klas oraz chłopskiemu egoizmowi — humanitarną myśl łączności i współpracy warstw i stanów. Zjednoczenie się mieszczaństwa ochroni go przed zachłannością wsi. Wszelako jeden punkt jest niezmiernie ważny: skupione, zespolone żywioły miejskie zasilą stronnictwa środka i przyczynią się do zapanowania umiarkowanej państwowej polityki, wolnej od wszelkiej krańcowości na lewo czy prawo. Nowe pismo kładzie silny nacisk na wybory w miastach.

Nie ulega wątpliwości, że akcja, której odbiciem jest „Mieszczanin", powinna szerokie zatoczyć kręgi i pobudzić ruch także w naszych środowiskach, na terenie byłej Kongresówki, gdyż dawniejsza Małopolska już dawniej rozwijała u siebie działalność w kierunku ożywienia organizacji mieszczańskiej. Naturalnie dziś, w obliczu ogromnych zadań, kołatających do bram większych i mniejszych grodów, naczelnem przykazaniem jest pewne łączne działanie organizacji miejskich w całej Polsce dla zainicjowania szerokostylowej polityki.

W ramy krótkiego komentarza sprawozdawczego dla podznaczenia wagi publikacji, która ukazała się na odzyskanych kresach zachodnich, niepodobna włóczyć całego wątku uwag, cisnących się pod pióro. Każdą jednak chęć, zmierzającą do dźwignięcia naszych miast z zastoju powojennego, powitać należy jako znamienny i konieczny krok do powierzenia im tej roli, jaką odegrać muszą w rozwoju naszej państwowości.

Węgrzy wobec układu polsko-czeskiego.

Drukujemy niżej artykuł, nadesłany przez pisarza węgierskiego, szczerego przyjaciela Polski, oddawna pracującego na niwie porozumienia polsko-węgierskiego. Artykuł odzwierciadla stan rozgoryczenia, jaki obecnie panuje na Węgrzech w stosunku do Polski. Liczne głosy prasy i polityków węgierskich, przytoczone poniżej, nie powinny ujść uwagi zarówno opinji społeczeństwa naszego, jak i kierowników polityki naszej. Sprawa stosunków polsko-węgierskich jest zbyt poważną, aby można było w milczeniu przejść nad nią do porządku dziennego.

Przyp. Red.

Wieluwiekowa tradycyjna przyjaźń polsko-węgierska przechodzi obecnie bardzo ciężkie chwile, z powodu układu polsko-czeskiego.

Wielkie rozczarowanie spotkało Węgrów. Nie przypuszczano bowiem, że możliwe jest ze strony polskiej tak nieprzychylne stanowisko wobec narodu, z którym Polska w najlepszych stosunkach żyła przez dziesięć wieków i który w nieszczęśliwych chwilach narodu polskiego podniósł swój głos w interesie Polski i chciał dopomódz jej.

W tych okropnych czasach, które Węgry teraz przeżywają, jest to zawód jeszcze stokroć boleśniejszy.

Cała prasa węgierska zajmuje się tym układem i wypowiada się o nim z dużem rozgoryczeniem. Takie same uwagi wypowiedzieli politycy węgierscy, mający styczność z polskiemi kołami w Budapeszcie. Ze szczególnem rozgoryczeniem mówił o układzie polsko-czeskim dr. Wolff, prezydent trybunału marszałkowskiego. Koła polityczne węgierskie uważają, że ostrze umowy polskiej jest skierowane przeciw Węgrom. Według wiadomości z Budapesztu, rząd węgierski potępia jak najostrzej postępowania rządu polskiego, które według niego nie odpowiada uczuciom narodu polskiego. Nagły wyjazd hr. Czekonicza z Warszawy do Budapesztu jest także w związku z tem.

Z gazet węgierskich przedewszystkiem *Nemzeti Ujság* (4. XI), organ największej partji politycznej, narodowo-chrześcijańskiej, na której czele stał hr. Andrássy, zajmowała się tą kwestją i wystosowała *„List do Warszawy"* pełen żalu, że tak gorzkie rozczarowanie spotkało naród węgierski ze strony narodu polskiego, którego uważano w doli i niedoli za brata, przeciw uciemiężeniu którego protestowali ich ojcowie, a któremu w przeszłym roku, kiedy fala czerwonego bolszewizmu groziła, ofiarowali mu swoją pomoc. Wiedząc, że Polska należy do grupy państw koalicji, nie mieli wielkiej nadziei, ale mimo tego przypuszczali, że Polska znajdzie sposób, aby wyrazić sympatje dla Węgier. „Są takie sytuacje — pisze Nemzeti Ujság — kiedy jedno dobre słowo ma takie znaczenie, jak sam czyn. Ale tego słowa rząd warszawski nie tylko nie wypowiedział, ale zawiadomił rząd czeski i jugosłowiański, że popiera moralnie ich akcję w sprawie węgierskiej.

Czy mamy być wdzięczni panu ministrowi Skirmuntowi, że dodał: „Polska nie bierze udziału

w interwencji zbrojnej". Rzeczywiście bardzo ładne przypieczętowanie byłoby wiekowej przyjaźni polsko-węgierskiej, gdyby razem z Czechami, Serbami i Rumunami także i Polacy szli przeciw Węgrom".

„Chcemy wierzyć — kończy N. U.—że pan minister Skirmunt i ministrowie reprezentują tylko rząd polski a nie opinję narodu polskiego. Ale ich zachowanie się zarejestrujemy między naszemi bolesnemi rozczarowaniami. Niewątpliwie odzwierciadlają te słowa głęboki żal i rozgoryczenie całego narodu węgierskiego z powodu nieoczekiwanego stanowiska względem Węgier.

W kołach politycznych węgierskich panuje przekonanie, że ostrze układu polsko-czeskiego skierowane jest przeciwko Węgrom. Ich zdaniem desinteressement co do Słowaczyzny, to jest przyznanie Czechom tego terytorjum węgierskiego, stoi w jaskrawej sprzeczności z tradycyjną przyjaźnią polsko-węgierską, na której Polacy niejednokrotnie opierali się w przeszłości, *której będą jeszcze potrzebowali w przyszłości.*

Pojedyńczy politycy bardzo ostro potępiali akcję min. Skirmunta, ale w kołach rządowych wytworzyło się przekonanie, że ta polityka nie odpowiada uczuciom narodu polskiego i że należy zaczekać, jakie stanowisko zajmie wobec tego układu społeczeństwo polskie.

Nie będziemy tu przytaczali wszystkich głosów prasy węgierskiej. Zanotujemy tylko najbardziej charakterystyczne artykuły.

Szózat, organ popierający naczelnika państwa Horthy'ego i atakujący stale skrajnych legitimistów w obszernym artykule p. t. *„Ugoda czesko-polska"* (9, XI) pisze: dożyliśmy do tego, że nasi polscy „przyjaciele" pogodzili się z najzaciętszymi wrogami Czechami i zawarli polityczny układ z nimi. Możliwem jest, że niefortunna awantura karlistów wpłynęła także na to, że te dwa wrogo usposobione narody pogodziły się, ale mimo tego nie rozumiemy polityki zagranicznej polskiej. Kiedy Polska była w największem niebezpieczeństwie, kiedy bolszewickie wojska przed Warszawą stały, Węgry były jedynem państwem w Europie, które ofiarowało swoją zbrojną pomoc dla narodu polskiego. Ale to prędko zapomnieli Polacy".

„Rozumiemy, że nie leży w interesie Polski restauracja Habsburgów, rozumiemy i to, że Czesi chcą nas zupełnie zadusić, ale że poprawne zachowanie się rządu i narodu węgierskiego nie wystarczyło narodowi polskiemu i rządowi polskiemu, tego zupełnie nie rozumiemy".

„Nie rozumiemy dlatego, bo Polski nigdy nie uważaliśmy za wrogie państwo. Tym układem Węgry jeszcze bardziej ściśnięto wrogim pierścieniem. Zapamiętamy to sobie, bo nareszcie i my chcemy politykę realną prowadzić, a nie uczuciową. Zawsze sentymentalnymi byliśmy my naiwni Węgrzy; to była nasza największa wada! Może wyleczy nas z tego sentymentalizmu zachowanie się Polski".

„Sądzimy—pisze na końcu—że naród niemiecki w takim wypadku byłby inaczej postępował. Nam narazie i tyle wystarczy".

Może zadaleko idzie to rozgoryczenie, ale jest charakterystyczne i zrozumiałe.

Niemniej znamiennym jest artykuł bardzo czytanego dziennika *Magyarság*, którego redaktorem jest wybitny publicysta i poseł do sejmu węgierskiego Stefan Milotay. Pod tytułem *„Zamknięci ze wszystkich stron"* (9,XI) zajmuje się ta gazeta układem polsko - czeskim. Konstatuje, że układ polsko-czeski jest wielkim sukcesem dyplomatycznym Benesza i że za kulisami trzeba szukać ręki Quai d'Orsay, która chce stworzyć blok słowiański dla wspierania swoich interesów.

Co do Węgier podkreśla, że w narodzie węgierskim żyła wobec narodu polskiego starodawna sympatja i przyjaźń, której nie mogły zmyć żadne potopy, tak samo, jak w wielkiej części narodu polskiego wobec dążeń narodowych węgierskich. Ale ta polityka romantyczna była do pewnego stopnia powierzchowna, bo zadawalniała się powtarzaniem tradycyjnych frazesów, a nie usiłowała się zapoznać z temi faktami i zjawiskami, które wskazywały na powolne przeobrażanie się umysłów społeczeństwa polskiego.

Obecnie układ polsko-czeski zniszczył marzenia o przymierzu polsko-węgierskiem i obudziliśmy się ze snu wobec przykrej rzeczywistości, że polityka polska idzie torami pansławizmu, co zresztą min. Skirmunt jeszcze przed półrokiem jako poseł w Rzymie otwarcie przyznał w rozmowie z korespondentem *Magyarság.*

Węgry więc obecnie są otoczone zupełnie, jak twierdza oblężona. Drogi niema nigdzie. Wrogowie nasi wzmacniają się, Polska rzuciła się zupełnie w objęcia małej ententy i przyznała, że Górne Węgry należą do sfery interesów czeskich. O wspólnej granicy nikt nie mówi już więcej. A my zostajemy zupełnie sami. Nie mamy ani jednego przyjaciela, tylko wrogów,—mamy i neutralnych „przyjaciół".

Ta sama gazeta kilka dni później (12,XI) znowu zajmowała się ugodą polsko-czeską w bardzo długim artykule *„Nowa orjentacja polska"*, pisanym przez szczerego, wypróbowanego przyjaciela Polski, barona *Alberta Nyáry.*

„Wśród naszych—pisze—niezmiernych ciosów, które nas w ostatnich czasach nawiedzały, spotkało nas bolesne rozczarowanie. Mała ententa z tryumfem głosi, że nareszcie udało się wciągnąć i Polskę do wrogiego pierścienia otaczającego Węgry".

„Czytając układ polsko-czeski, trzeba przyznać, że jest to olbrzymi sukces Benesza. Jeszcze przed kilkoma miesiącami nie można było wiedzieć, Niemców czy Czechów bardziej nienawidzą Polacy, a dziś udało się Czechom zawrzeć układ z najzawziętszym wrogiem, z Polską, układ, którego ostrze zwrócone jest wprost przeciw Węgrom, tysiącletniemu przyjacielowi Polski".

Według układu Polska przyznaje, że Czechy mają prawo do oderwanych od Węgier terytorjów i wypowiada desinteressement w sprawie słowackiej i nie popiera jej więcej.

„Na to moglibyśmy powiedzieć uporczywie: no dobrze, Polska nas zawiodła. Moglibyśmy się oburzyć, że Polska odrzuca tysiącletnią przyjaźń za bardzo problematyczny sojusz, który w tej chwili wydaje się korzystnym. Moglibyśmy się dziwić, że Polska, która przeszła tyle cierpień dzięki rozbiorom, nie chce zrozumieć nieszczęśliwego położenia Węgier, i że właśnie od niej nie możemy spodziewać się pomocy, sympatji. Więc dobrze, Węgrzy także zapomną o prze-

szłości. Zapomną, że nieraz byliśmy towarzyszami broni, nieraz dawaliśmy azylum Polakom, że z Węgier pochodzili: Kinga, Jadwiga, Stefan Batory, że przy każdej sposobności żądaliśmy wskrzeszenia Polski. Hymn polski razem śpiewaliśmy zawsze z odkrytą głową z hymnem węgierskim. Od dziś już jeden tylko hymn śpiewać będziemy. A jeżeli Polska, rozczarowawszy się do nowego sojusznika, znowu zwróci się do nas, wtedy"...

„Wtedy znowu podamy jej przyjacielską dłoń, bo Węgier nie jest w stanie zdradzić tysiącletnią przyjaźń. Węgrzy ze spokojem, zimną krwią wśród tylu nieszczęść patrzą na wszystkie wypadki. Węgrzy czują, że ten układ nie siostra Polska podpisała, lecz obecni jej politycy".

Następnie autor krytykuje rząd węgierski, który nie umiał wyzyskać sporu polsko-czeskiego i nawiązać ściślejszych stosunków z Polską.

Mimo to, że stosunki polsko-węgierskie tak się pogorszyły, baron Nyáry jest zdania, że wielowiekowej sympatji Polaków do Węgrów nie mogą zniszczyć ani chwilowe interesy dnia, ani obecny minister spraw zagranicznych.

Zdaniem jego, nie zważając na wszystko, trzeba dalej pracować nad zbliżeniem polsko-węgierskiem. We Lwowie i Krakowie mocniej żyją tradycyjne sympatje węgierskie, niż w Warszawie, przez długie czasy zarażonej ideą powslawistyczną.

Wznowioną energją, nową taktyką, nowemi drogami trzeba dalej pracować, aby umacnić dawną przyjaźń polsko-węgierską.

Przytoczyliśmy kilka głosów z prasy węgierskiej, przyczem musimy dodać, że takich pojednawczych głosów, jak br. Nyáryego, nie dużo znajdziemy. Większa część ich jest niezmiernie rozgoryczona, bo uważa, że ostre wystąpienie Czech przeciw Węgrom w ostatnich wypadkach *nie byłoby możliwem, gdyby nie „moralne" poparcie ze strony polskiej, które dało możność Czechom całą siłą wystąpić przeciw Węgrom. Polska takim sposobem brała udział w upokorzeniu Węgier.* Rozgoryczenie więc jest zrozumiałe.

Często dają się słyszeć ze strony węgierskiej skargi z tego powodu, że w sejmie polskim ani razu nie wystąpiono w obronie Węgier, że ani jeden poseł nie miał odwagi bronić Węgier, lub chociażby wyrazić sympatje dla nich. Jak gdyby dla sejmu polskiego nie istniały Węgry. Przypominają, że podczas wojny, kiedy nikt w Europie nie mówił o niepodległości Polski i nikt nie bronił interesów polskich, to w sejmie węgierskim najwybitniejsi politycy wygłosili gorące mowy w sprawie polskiej. Hr. Andrássy, hr. Apponyi, hr. Batthyány, poseł Ugron, Dobieczky i wielu innych wystąpiło na rzecz Polski, wtedy kiedy Niemcy stali na szczycie potęgi swej i kiedy mogli się narazić na zemstę Niemców. A tu w sejmie polskim .....nikt.

Oczy Węgrów zwrócone są ku narodowi polskiemu z zapytaniem, jak się zachowa naród polski wobec nieszczęśliwego narodu węgierskiego, czy zrozumie, że osłabienie Węgier jest osłabieniem Polski.

D.

Ku uzdrowieniu Polski.

II.

Wojna poczyniła u nas wielkie szczerby w świecie lekarskim. Jedni—lekarze i studenci—zginęli z ran na polu bitwy lub w szpitalach, drudzy umarli na tyfus lub czerwonkę, inni z wycieńczenia. Nasze fakultety lekarskie przez kilka lat prawie nie funkcjonowały. Nie można było zapełnić coraz zwiększających się luk, choć garść lekarzy Polaków uciekła z kresów i Rosji bolszewickiej do Polski, swej wolnej ojczyzny.

Wciąż daje się odczuwać brak lekarzy w Polsce nietyle może w wielkich miastach, ile na prowincji—w osadach i po wsiach. Śmiertelność i chorobliwość mało co się zmniejsza, a wzbogaceni mieszkańcy zapadłych miasteczek i wiosek domagają się coraz więcej doktorów, boć ich stać dzisiaj zapłacić i kilkanaście tysięcy marek za wizytę.

Wychowanie więc, wykształcenie całego zastępu młodych, dzielnych, energicznych, zapalonych do swego fachu lekarzy jest sprawą pilną i naglącą — sprawą, na którą powinno zwrócić baczną uwagę nietylko Ministerstwo Oświaty i Zdrowia, nietylko rektorzy, dziekani i profesorzy, ale i całe inteligentne społeczeństwo. Dziś i w przyszłości przed polskim lekarzem otwiera się daleko szersze, wdzięczniejsze pole działania, niż za caratu moskiewskiego lub pruskiego. Od jego inicjatywy, energji i wytrwałości zależeć będzie zdrowotność miast i wsi, czystość rzek, jezior i stawów, wodociągi i kanalizacje, osuszenie moczarów, aleje i sady, schludne piękne chaty, wesołe, jasne i obszerne szkoły. W jego ręku, w jego mocy będzie piękno, zdrowie i szczęście wybranego przezeń zakątka.

Odrodzone demokratyczne społeczeństwo polskie ma zatem prawo i musi domagać się, ażeby synowie jego byli gruntownie wykształconymi lekarzami, umiejącymi dokładnie poznać i przeniknąć organizm chorego i istotę choroby; usunąć możliwość powikłań, przepisać nietyle kilka banalnych mikstur aptekarskich, ile odpowiednią hygjenę i racjonalne leki, podstawowe, niezbędne. Niech zginą niepowrotnie moskiewskie czasy warszawskiego uniwersytetu, kiedy z polskiej młodzieży carscy służalcy chcieli zrobić maszyny, uległych pionków, kiedy profesorzy co rok odczytywali li tylko jedne i te same kursy, kiedy egzaminatorzy silili się przy egzaminach zawsze zmieszać studenta i usidlić go w zastawionej przez się pułapce.

Uniwersytety nasze, wszystkie wyższe uczelnie powinny młodzieży naszej wskazywać drogi do badań i studjów, rozwijać w niej indywidualność, podniecać do samodzielnej pracy, kształcić nie na manekiny — rzemieślników, ale na myślących, samodzielnych obywateli — lekarzy, prawników, inżynierów.

Zrozumiałem jest, że przez pięć i pół lat trudno wychować młodego człowieka choćby i najlepszych chęci, na takiego wzorowego lekarza-obywatela zwłaszcza w czasach obecnych, kiedy studenci odwykli przez wojnę od naukowej pracy, są zniechęceni, zgłodniali, muszą prawie na nowo rozpoczynać swe przerwane, zapomniane

studja. Z powodu tych właśnie trudności, z powodu tych wyjątkowych warunków nie można, nie wolno nikomu marnować czasu i sił naszej młodzieży. Należy wyzyskać jaknajlepiej, jaknajużyteczniej każdą chwilę, każdą dobrą chęć i zapał naszych studentów medyków.

Nasza młodzież uniwersytecka, nasza młódź lekarska w znacznym stopniu przyczyniła się do wskrzeszenia i odrodzenia Polski. Cała Polska winna zająć się jej losem, bezustannie czuwać nad jej spokojem, rozwojem, nauką, przyszłością. Błędnem jest wielce mniemanie, że student otrzymawszy swą matrykułę, zapisawszy się do uniwersytetu, staje się znowu żołnierzem tylko z inną władzą naczelną, z innym sztabem generalnym, że społeczeństwo nie ma już prawa choćby pośrednio wtrącać się do jego nauki, wychowania, kształcenia.

Dawniej nie mogły i nie odzywały się w tej kwestji głosy doradcze, a cóż dopiero krytykujące. Dziś czasy zmieniły się i nasza Polska zdemokratyzowała się. W sprawach waluty, przemysłu, strajków, ośmiogodzinnej pracy wszyscy głos zabierają.

Dlaczego w sprawie wychowania, kształcenia naszej młodzieży na przyszłych obywateli—lekarzy, prawników, tylko urzędowe areopagi mają prawo sąd wydawać, a nasze społeczeństwo, a ludzie kompetentni, doświadczeni, mają sobie nakładać kaganiec na usta?... Miejmyż nareszcie śmiałość i odwagę iść nowymi tory!

Jak w całej Polsce, w każdej sferze, w każdym fachu, rzemiośle, handlu i urzędzie, — tak i na uniwersytecie naszym, na medycynie, traci się wiele czasu bezpotrzebnie i bezużytecznie, a tymczasem nasi studenci medycy na właściwe studja lekarskie praktyczno-teoretyczne mają wszystkiego trzy i pół lata. Koniecznem jest zatem z jednej strony *przedłużyć uczęszczanie do szpitali do czterech lat i pół, nie przedłużając jednak ogólnego pobytu w uniwersytecie* (przez 5$^1/_2$ lat), a z drugiej strony *tak zorganizować zajęcia szpitalne studentów, ażeby nie tracili jednego dnia i wciąż uczyli się przy łóżku chorego, badając go i lecząc.*

Obecnie dwa pierwsze lata na medycynie poświęcone są na chemję, fizykę, botanikę, zoologję, zajęcia praktyczne w naukach przyrodniczych oraz na anatomję, dysekcje, embrjologję, histologję, fizjologję i zajęcia praktyczne. Cały dzień studenci są zajęci, ani myśleć przy obecnym systemie o szpitalu w rannych godzinach. Jedyny na to sposób — organizacja francuska. Niema tam pomieszania nauk przyrodniczych z anatomją, fizjologją i medycyną. Kandydaci na fakultet lekarski, po otrzymaniu matury, wstępują na jednoroczny kurs przyrodniczy (Physique, Chimic, Science naturelle P. C. N.), zupełnie oddzielny od szkoły medycznej, choć specjalnie przygotowawczy do niej. Po złożeniu w końcu roku egzaminu zapisują się na *fakultet lekarski, gdzie wszystkie wykłady i zajęcia praktyczne odbywają się po 12-ej, ażeby dać możność studentom cały ranek spędzić w szpitalu.*

Reorganizacja ta we Francji dała znakomite rezultaty; u nas prawdopodobnie spotka wiele przeszkód, uważać ją będą za rewolucję. *Niechże przynajmniej uszczuplą nieco chemji, fizyki, zoologji i w drugim roku pozostawią ranek wolny na szpitale.*

Niedość jednak iść do szpitala, chodzić w ogonku za profesorem, wyczekiwać cierpliwie swojej kolejki do badania chorego, — trzeba korzystać z każdej chwili, obserwować, pytać, badać, porównywać, sprawdzać, kontrolować, samemu robić wszelkie zabiegi, a tegoż przecie nikt nie nauczy się w gromadzie kilkudziesięciu choćby najpilniej słuchających, nawet najwięcej krasomówczego i zdolnego mistrza.

Czas zatem wybrać inną metodę, inny system, niż dotychczas. Należy zapoznać się i wprowadzić u nas francuską organizację „uczęszczania studentów do szpitali", a jak Francuzi nazywają „stage hospitalier".

Czyż tylko będziemy naśladować Francję w strojach, czołgach i gazach trujących? Francja nie tem się szczyci, ale swą wolną myślą, istotną demokracją, oświatą, nie zabijaniem indywidualizmu, ułatwianiem w nauce i we wszelkiego rodzaju uczelniach.

Zamiast kilku klinik uniwersyteckich w szpitalach, powinny stać otworem dla studentów-medyków wszystkie oddziały szpitalne, a ordynatorzy i asystenci powinni ich uczyć, uważać za swych uczniów-pomocników. Wstępując na 2-gi kurs medycyny, wszyscy studenci obowiązani są wybrać i zapisać się do jednego z oddziałów szpitalnych, chodzić tam regularnie, zająć miejsce eksternistów i po części pielęgniarzy. Od 8$^1/_2$ do 11$^1/_2$ muszą być w szpitalu, zbadać, opukać, osłuchać swych chorych, zdać sprawę swemu szefowi, wykonać wskazane zabiegi, a na każdym oddziele nie może być ich więcej nad 20. Co sześć miesięcy zmieniają oddział i otrzymują świadectwo od ordynatora, którzy bynajmniej nie roszczą pretensji nosić nawet imienia profesorów.

Wobec nagłej i, powiedzmy szczerze, niespodziewanej organizacji polskiej uniwersytetu warszawskiego, wileńskiego i poznańskiego brak jest dotychczas profesorów, wybór nie zawsze zbyt fortunny, — musi się to do głębi odbić na wiedzy i przygotowaniu naszych przyszłych lekarzy. I temu jednak nietrudno zaradzić, zrywając z przestarzałą rutyną, nie bojąc się „nowości", zapatrując się bliżej na Zachód romański. W popołudniowych godzinach — o 4-ej lub 5 ej — albo w wieczorowych, w salach uniwersyteckich albo w amfiteatrach szpitalnych, za pozwoleniem władzy uniwersyteckiej *wolni lekarze mogliby bezpłatnie mieć wykłady* (*nigdy więcej nad sześć*) *czy to z teorji, czy to z praktyki lekarskiej.* Na te wolne kursy „cours libres" mieliby prawo chodzić wszyscy studenci i lekarze, nie byłoby żadnych stopni, repetycji, egzaminów, dyplomów. Podzielenie się z nabytą wiedzą, doświadczeniem, wypełnienie braków i luk — oto skromne zadanie starszych lekarzy nieprofesorów.

Nie chcąc przedłużać nauki na fakultecie lekarskim, pragnąc jak najwięcej pożytku zeń osiągnąć, niezbędnem jest usunąć wszelki balast niepotrzebny, ułatwić studentom nabywanie wiedzy lekarskiej, zapoznać ich z nowemi gałęziami medycyny, otworzyć im nowe horyzonty.

Przedewszystkiem *czemprędzej należałoby wydać cały szereg jasnych, dokładnych podręczników lekarskich dla naszej uczącej się młodzieży lekar-*

skiej. Setki krótkich pierwszorzędnej wartości książek francuskich oczekuje naszego tłomaczenia i rozpowszechnienia po całej Polsce, a my trwonimy z trudem uciułany grosz publiczny na wydawnictwo pomnikowych jakoby pamiątkowych oryginalnych dzieł.

Serce się ściska, gdy patrzymy na polskich studentów medycyny ślęczących nad tomami niemieckiemi, a mówią nam oni, że chodzą na kursy li tylko, aby poznać terminologję polską, wymaganą słusznie przy egzaminie.

Nie tu jest miejsce wskazywać, co jest balastem na naszym lekarskim fakultecie i w naszych polskich kursach, ale nie możemy nie poskarżyć się przed naszem społeczeństwem, że strasznie po macoszemu jest traktowana hygjena, tak niezbędna, konieczna dla polskiego lekarza—obywatela. *A nieznaną naszej młodzieży jest wcale „Hygjena Pracy" — najnowsza a najszczytniejsza gałęź wiedzy, nauki.*

O, gdybyśmy ją dokładnie poznali, gdybyśmy starali się ją wszędzie krzewić, domagali się dla niej prawa bytu, — nikomu praca nie wydawałaby się ciężarem, wszyscy znajdowaliby w niej przyjemność i szczęście.

Kto wie, czy „Hygjena Pracy" nie jest talizmanem, który świat zbawi i który zażegna huczącą już burzę...

Dr. Józef Zieliński.

Liga Obrony Praw Człowieka.

Polska Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela urządza w nadchodzącą sobotę d. 26 listopada w małej sali Towarzystwa Hygjenicznego (Karowa 31) trzecie z rzędu w tym miesiącu zebranie dla swych członków i wprowadzonych gości.

Na pierwszem zebraniu pod przewodnictwem D-ra Wykowskiego składał sprawozdanie z dotychczasowej działalności Ligi prezes jej mecenas E. Śmiarowski. Dowiedzieliśmy się zeń, że Liga w ciągu kilkumiesięcznego zaledwie istnienia zajmowała się całym szeregiem spraw, dotyczących obrony praw człowieka i obywatela, a interwencja jej w większości wypadków odniosła pożądany rezultat. W celu bardziej sprężystego i racjonalnego prowadzenia spraw tych, została założoną przy Zarządzie Ligi Sekcja prawnicza, do której weszli wszyscy prawnicy należący do Ligi, jako też osoby wybrane przez Sekcję z pośród członków Ligi. Sekcja ta będzie wydawała swą opinję w kwestjach prawnych przedłożonych jej przez Zarząd Ligi oraz będzie roztaczała opiekę prawną nad osobami, które zwracają się do Ligi o pomoc prawną. Niezależnie od tego sekcja będzie mogła inicjować poruszanie zagadnień w zakresie zadań i programu Ligi.

Następnie zabrała głos skarbniczka Ligi pani Męczkowska, która zakomunikowała, że zebrane zostało ze składek i ofiar 149,805 mk. z tego wydatki na delegacje, wyjazdy, koszty związane z urządzeniem zebrań i materjały piśmiennne wynoszą 44,816 mk. Zważywszy, że dotychczasowa składka 100 mk. i wpisowe 50 mk. są niezmiernie niskie i że energiczna akcja towarzystwa jest uzależnioną od zasobów kasowych, Zarząd proponuje podniesienie składki członkowskiej do 500 mk. rocznie.

Po krótkiej dyskusji zebranie uchwaliło podniesienie składki do 500 mk. rocznie i utrzymanie wpisowego w poprzedniej wysokości 50 mk.

Z kolei zabrał głos p. St. Thugutt, który wygłosił referat o stosunkach na Chełmszczyznie pod względem wyznaniowym i szkolnym, na podstawie skarg ludności ukraińskiej, jako też osobistych spostrzeżeń. Zarząd Ligi wydelegował pp. Śmiarowskiego i Thugutta dla dokonania wywiadu o stosunkach tamtejszych. Delegaci objechali dwa powiaty, przyjmowani owacyjnie przez ludność miejscową, która gromadziła się tłumnie na ich spotkanie.

Zebrani wyrazili życzenie, aby tej palącej kwestji poświęcony był specjalny wiec dla zapoznania szerszej publiczności ze stanem rzeczy zgoła nieznanym.

W dyskusji zabierali głos p. Bohdan Kutyłowski, p. Daszyńska-Golińska, p. Hołówko i p. Lisakowski.

Dnia 19 listopada miało miejsce nader liczne i ożywione zebranie poświęcone rozpatrzeniu projektu Ustawy wyjątkowej. Prezes Śmiarowski poddał ścisłej i rzeczowej krytyce projekt ograniczenia wolności obywatelskiej zagwarantowanej przez konstytucję. Referat wygłoszony z właściwą prelegentowi swadą i tchnący wielką szczerością przekonań przyjęty był przez zebranych z wielkiem uznaniem. W dyskusji zabierali głos w dłuższych przemówieniach: p. Wacław Łypacewicz, adwokat Jan Dąbrowski, dr. Józef Zieliński, poseł Woźnicki, p. Edward Lipiński i inni.

Na zakończenie uchwalono następującą rezolucję:

„Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela po dyskusji na ogólnem Zgromadzeniu członków, w sprawie projektu tymczasowych zarządzeń dla zwalczania akcji przeciwpaństwowej, wniesionego przez Rząd do Sejmu Ustawodawczego, stwierdza, że wprowadzenie w życie tej ustawy pozbawiałoby abywateli polskich tych elementarnych praw obywatelskich, które stanowią podstawę życia i rozwoju państwowego Polski, że oddałby całe społeczeństwo polskie na łup samowoli administracyjnej, że poderwałoby w obywatelu polskim szacunek dla prawa i poczucia godności obywatelskiej.

Z tych względów Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela protestuje przeciw zamachowi na prawa obywatelskie i postanawia protest ten podać do wiadomości publicznej."

Inteligencja pracująca a stronnictwa polityczne.

II.

Jeżeli inteligencja pracująca z tych i innych przyczyn, o których niżej, nie może przejąć się ideologją socjalizmu współczesnego, dlaczego nie utworzy ona własnego stronnictwa demokracji radykalnej lub nie przyłączy się do istniejącego

od niedawna „Stronnictwa Demokratycznego“? Wszak jasną jest rzeczą, że miejsce inteligencji pracującej jest na lewicy, szczególniej teraz, gdy inteligencja stała się klasą w znaczeniu marksowskiem i gdy same warunki ekonomiczne popychają ją w tym kierunku. Przyczyną jest właśnie istnienie stronnictwa demokratycznego w jego stanie obecnym. Kręgosłup tego stronnictwa stanowią ludzie określonej doktryny i mocnej ideologji. Sztab bez armji. Rozporządzając do niedawna pewnym odłamem prasy, organizacją i pięknemi tradycjami, na które lubi się powoływać, stronnictwo to jakoś nie może zwerbować szeregowców.

Przyczyna tkwi w ideologji stronnictwa, w tradycjach i programie politycznym. Nie obchodzi nas w tej chwili, pod wpływem jakich czynników czy osobistości skonstruowaną została ta doktryna, którą jak skamieniałość, porównać można tylko z małym zaściankowym marksizmem. Pracownicy umysłowi, właśnie dlatego że są inteligencją, że zapatrują się na sprawę krytycznie, i nie wyłącznie ze stanowiska klasowego, że mają swoje uczucia i przeczucia, będąc demokratami, nie mogą się pogodzić z zasadniczemi cechami doktryny, nie wypływającemi konsekwentnie z istoty ideału demokratycznego. Punktami tymi są: 1) ideał polityczny: sprawa federacji i polityki wschodniej, tworzenie nowych państw i narodów, 2) stosunek do religji i kościoła, 3) sprawa żydowska, 4) stosunek do socjalistów i ich polityki i 5) stosunek do cezaryzmu.

Co do punktu pierwszego—nie będziemy się na nim dłużej zatrzymywać. Sprawa ta była wielokrotnie i wszechstronnie omawiana na łamach „Tygodnia Polskiego“. Jasnem jest, że można być demokratą, nie będąc utopistą i doktrynerem, zwolennikiem polityki nierealnej, ryzykownej i rujnującej. Polityka federalistyczna, tak jak ją ujmują pewne sfery wpływowe w stronnictwie demokratycznem, odstręcza wielu demokratów bezpartyjnych od tego stronnictwa.

Drugim szkopułem jest stosunek leaderów S. D. do religji. Panuje tam dotychczas duch św. p. pozytywizmu warszawskiego, walka z religją i kościołem za wszelką cenę. Zapomina się o tem, że ludność polska w przeważnej masie jest religijna i katolicka, że walka z klerykalizmem to nie jest to samo, co walka z katolicyzmem, z chrześcijaństwem, z religją, że do tej sprawy potrzeba wiele taktu i ostrożności. „Demokrata“ warszawski w sprawach religji to typowy postępowiec polski z przed czterdziestu laty, o którym St. Brzozowski mówił, że „z chwili gdy uwierzy, że jest postępowcem, czuje się wyższym ponad wszystko, czego nie zna; od czegoż słówko: reakcja“. W innem miejscu tenże Brzozowski powiada, że z takiej wiary w postęp wygląda wszędzie „tępe zadowolenie filistra“, skojarzone „z właściwą dorobkiewiczom teorji pogardą dla głębokich sił życia... Barbarzyństwo postępowości polega na wyodrębnianiu się i zamykaniu oczu, na tchórzliwem uciekaniu od tej wielkiej dziedziny twórczości duchowej, jaką jest świat religji“. Zapomina się u nas, że nie możemy się wzorować na Niemcach i Francuzach; walka z klerykalizmem i reakcją kościelną w Polsce to nie kulturkampf niemiecki i coś innego, niż walka Emila Combes'a z kongregacjami i oddzielenie kościoła od państwa we Francji. Ten prymitywny, nieprzemyślany, fanatyczno—wolno myślicielski i nietaktowny stosunek do spraw religijnych odstręczył od S. D. gros sił inteligentów i szczególniej pół-inteligentów, należących do drugiej kategorji.

Trzecim szkopułem jest sprawa żydowska; jest ona otyle skomplikowaną, że rozpatrywać jej merytorycznie na tem miejscu oczywiście nie będziemy. Musimy tylko zaznaczyć, że o ile w sprawach religji demokracja nasza „zorganizowana“ była śmiałą, odważną, nieraz zuchwałą i agresywną, o tyle w sprawach żydowskich zachowywała stanowisko niewyraźne i dwuznaczne. Można było gromić klerykalizm, antysemityzm i „czarną reakcję“, ale nie można było mówić o antypaństwowem stanowisku i szkodliwej dla Polski polityce żydów. Jest jakaś wstydliwość, jakieś zażenowanie, jakieś „tabu“; i tu, rzeczywiście, demokrata warszawski przy słowach sprawa żydowska staje się podobny do starej panny z połowy zeszłego stulecia, która dostawała wypieków przy słowie kamizelka, a przy wymienieniu innej części ubrania traciła mowę lub dostawała spazmów. Dopóki demokracja nasza nie skonstatuje otwarcie, że stroną napadającą, agresywną, była mniejszość narodowa, że dalsze smutne skutki, antysemityzm żywiołowy i uliczno-demagogiczny, były wynikiem samoobrony społeczeństwa, choć często nieudanej i niecelowej, że od strony napadającej należy przedewszystkiem żądać zaprzestania walki, że demokratyzm to nieobowiązkowo filosemityzm — do tego czasu stronnictwo demokratyczne nie będzie miało zwolenników wśród szerszych warstw inteligencji pracującej.

Taki sam stosunek do religji i sprawy żydowskiej u P. P. S. odstręcza również szersze masy inteligencji (drugiej kategorji) od tego stronnictwa.

Stosunek do socjalizmu demokracji zorganizowanej jest również niewyraźny. Co do socjalizmu jako doktryny panuje wielka rozbieżność poglądów; inteligencja właściwa, szczególnie sztab stronnictwa, liczący wielu byłych socjalistów, jest dla socjalizmu usposobiony przychylnie, choć nie uznaje doktryny Marksa, dyktatury proletarjatu i międzynarodówki; większość jednak zdaje się nie ma w tej materji określonego zdania. Praktycznie biorąc, w stosunku do P. P. S. stronnictwo zachowuje się przychylnie z zasady, tworząc wspólny front przeciwko „reakcji“, nie występuje przeciw strejkom (pracowników miejskich, kolejowych), rozpoczętym w najgroźniejszej dla naszego państwa chwili, militaryzację kolei potępia, jest wrogo usposobione do Samopomocy Społecznej, do „reakcyjnego“ S. S. S. Wobec zasadniczego państwowego stanowiska stronnictwa wydaje się to niezrozumiałem i niekonsekwentnem, i tłumaczy się tą właśnie potrzebą tworzenia wspólnego frontu, tradycyjną „pryncypialnością“ oraz brakiem własnego społecznego programu. Na ogół stosunek demokratów do socjalistów da się określić jako stosunek dziadka do kochanych, zdolnych i wiele obiecujących, choć swawolnych wnucząt—psotników; dokazują i zbytkują, ale od tego przecież jest młodość. Ze swojej strony socjaliści traktują demokratów z pobłażliwą, ironiczną i nieco pogardliwą przychylnością, jak takie bystre

dzieciaki muszą traktować miłego i dobrego, choć zdziecinniałego i śmiesznego dziadunia. Zadziwiającą rzeczą jest właśnie to, że będąc w zasadzie wyznawcami socjalizmu reformistycznego, ewolucyjnego, demokraci nasi nie chcą postawić kropki nad i unikają słowa socjalizm w zastosowaniu do własnej partji.

Główne wymienione przez nas cechy zasadnicze S. D. nie mają (każda z osobna) z sobą nic wspólnego. To też jedni z demokratów bezpartyjnych, sympatyzując z programem federalistycznym, nie godzą się na flirt z socjalizmem lub z żydostwem, inniby przyjęli cały program bez federalizmu i ekspansji wschodniej, tych znowu zraża bezwzględność w sprawach religji. Dlatego S. D. w jego obecnym składzie nie może liczyć na powodzenie wśród szerszych mas inteligencji i pół-inteligencji pracującej. Wyjątek mogłaby stanowić jedna klasa — urzędników państwowych. Powstała myśl—wcale niezła—zrzeszyć tych źle uposażonych, nie mogących urządzać strejków, pracowników w jednem stronnictwie. Ale jednocześnie mówi się, że urzędnicy państwowi muszą interes państwowy uważać za swój interes klasowy, t. j. innemi słowy powinni wyrzec się stanowiska klasowego. Bardzo pięknie, ale w takim razie muszą oni dążyć do redukcji liczby urzędników, których jest cztery razy więcej, niż trzeba, i nie żądać podwyżek, to znaczy, popełnić samobójstwo. Do tego trzeba dodać, że klasa urzędnicza u nas nie jest jeszcze skonsolidowaną: jest to masa niestała, płynna; mamy urzędników fachowców i urzędników z powołania bardzo mało, natomiast bardzo dużo elementów przygodnych, ludzi, którzy dotąd nie byli i nie mają nadal zamiaru pozostawać urzędnikami i opuszczają stanowiska przy pierwszej sposobności. Utworzenie z takiej niestałej, różnorodnej, zmiennej masy stronnictwa o zwartej, spoistej ideologji jest utopją. I w tem całe szczęście. Utworzenie się stronnictwa demokratycznego ze znaczną przewagą urzędników państwowych, których jest w Polsce do 400.000, broniących swojego interesu klasowego i kierujących jednocześnie aparatem państwowym, mogłoby w krótkim czasie rozsadzić państwo, oddając je w monopol kliki biurokratycznej.

Oprócz inteligentów, rozrzuconych w różnych stronnictwach robotniczych i ludowych, wielu z nich jest sympatykami i nawet czynnymi członkami stronnictw narodowych, zachowawczych. W tych wypadkach nad czynnikiem klasowym i egoistycznym przeważa element idealistyczny. Działa tu nie brak demokratyzmu, czy jakaś osobliwa sympatja dla burżuazji. Niewielu uznaje program tych stronnictw i ich metody działania w całej rozciągłości; najczęściej skłania ich ku nim pierwiastek uczuciowy, przywiązanie do tradycji i religji, niechęć i obawa przed imperjalizmem żydowskim, obawa przed ochlokracją, zagrażającą najcenniejszym zdobyczom kultury narodowej, lub zagładą kultury ogólno-ludzkiej.

Jeżeli z przyczyn wyżej wymienionych obecne stronnictwo demokratyczne nie może przyciągnąć szerszych mas inteligencji, czy nie możnaby było utworzyć innego stronnictwa demokratycznego, wolnego od tradycyjnych naleciałości starego „pryncypjalnego“ liberalizmu, dawnej socjalizującej i federalizującej demokracji? Byłaby to na razie armja bez sztabu, tak jak obecnie jest sztab bez armji. Stworzenie takiego stronnictwa potrzebuje czasu na przewartościowanie starych wartości, przeżytych haseł i komunałów. Jeżeli takie stronnictwo zostanie kiedyś powołane do życia, będzie ono zapewne w niektórych sprawach więcej radykalne, w innych więcej zachowawcze, niż stronnictwo obecne. W stosunku do sprawy żydowskiej, do masonerji i do religji stronnictwo takie prawdopodobnie zachowywałoby większą rezerwę i więcej rządziło się postulatami realnemi, niż doktryną liberalizmu zachodniego. W stosunku do socjalizmu — musiałoby stać się jego odłamem narodowym, reformistycznym, rewizjonistycznym. I, naturalnie, byłoby zmuszone opracować własny program reform społecznych. Ale i wtedy pozostanie stronnictwem liczebnie słabem. Będzie to nie stronnictwo w obecnem znaczeniu, a pewien obóz polityczny. Obóz taki na wpływy bezpośrednie na masy, na miejsca w sejmie, na udział w rządzie liczyć nie powinien. Za to, będąc silnym jakościowo, składając się z jednostek wybitnych i czynnych, może służyć za laboratorjum idei, projektów i pomysłów społeczno-politycznych; może na wzór słynnej Kuźnicy Kołłątajowskiej lub socjalistycznego Towarzystwa Fabjanów w Anglji, imponować swoją ideologją, wywierać znaczny wpływ przez prasę, organizować opinję publiczna Znaczenia takiej grupy politycznej bagatelizować nie należy.

Tak jak jest, inteligencja pracująca—szczególnie pracownicy umysłowi w ścisłem znaczeniu—skazaną jest na to, że nie tworząc jednego obozu i jednego stronnictwa, będzie rozproszoną po różnych partjach politycznych. W okresie walk klasowych, jakie przeżywamy, może z tego wyniknąć nawet korzyść, gdyż obecność w każdem stronnictwie jednostek o wysokim poziomie umysłowym lub etycznym będzie bronić od bezwzględności, fanatyzmu partyjnego, ułatwiać porozumienia i kompromisy, bez których nie może się obejść polityka państwowa.

Dr. J. E. Chmielewski.

Niedola Polaków uchodźców w Rosji i powrót ich do kraju. [1]

III.

Pobyt w Rosji.

Pobyt wygnańców Polaków w Rosji należy podzielić na 3 okresy: I — za czasów rządu carskiego, II — rządu wolnościowego, III — podczas rządu sowieckiego.

Nadzwyczaj wybitną rolę odgrywało podczas wspomnianego okresu wygnania nasze stałe wychodźtwo z kraju — kolonje polskie w Rosji, Polacy dawniej tam zamieszkali. Podkreślić tu należy, że zamieszkali w Rosji Polacy, znający miejscowe warunki, mający znaczne stosunki w sferach rządowych i szczególnie społecznych rosyjskich, byli lubiani i cenieni jako ludzie o wysokim poziomie kulturalnym, przygotowali grunt podatny do rozwinięcia akcji ratowniczej na szeroką skalę, marząc o kraju, przyjmując każdą

[1]) Patrz № 46 „Tygodnia Pol.“

wieść z Polski wprost z narodowem ubóstwieniem. „Polacy rosyjscy“ uważali za obowiązek patrjotyczny pomódz rodakom wygnańcom, wykazując ogromną ofiarność, częstokroć odmawiając sobie, aby tylko zaspokoić krzyczącą nędzę swych bliskich. Cały szereg rodzin polskich i poszczególnych rodaków w Rosji ujawniło ogromny patrjotyzm, sprężystość organizacyjną, dobrą wolę, poświęcenie,— mozolną pracą i wielkiem poświęcenie się na obczyźnie dla sprawy narodowej, jako prawdziwi obywatele kraju w jednej z najcięższych chwil tułaczki ludu polskiego. Pomoc zainicjowana była we wszystkich kierunkach: zbiórki ofiar, akcji żywnościowej i odzieżowej, urządzania schronisk, ochronek, przychodni, szpitali, kolonji dla dzieci słabych (nad Donem, na Ukrainie i w innych miejscowościach), odczytów, szkół, pracowni i t. d.

Kolonje polskie w stosunku do przybyszów wykazały, jak wspomniałem, wiele dobrych chęci i serca, nie robiąc różnicy pomiędzy przybyłymi, natomiast nie tak się zachowali sami przybysze, „prawdziwi obywatele Polski“, podkreślając swe stanowisko bądź to w sprawach organizacyjnych, bądź to w kwestjach polityczno-narodowych i powrotu do kraju, życząc sobie mieć wpływ przeważający — chęć ogólnego kierownictwa, odrębność organizacji, wprowadzanie polityki do roboty, w kwestji powrotu do kraju i t. p.

Natomiast prowadzenie akcji ratowniczej dla Polaków wygnańców wymagało jednolitej myśli przewodniej i Rada Zjazdów sprostała swemu zadaniu. Za rządu carskiego organizacje polskie społeczne jak i rosyjskie musiały wyciągać od władz dostateczne środki na utrzymanie i zapewnienie egzystencji masom wygnańczym i coraz to nabierały więcej samodzielności, całkowicie następnie uznanej przez rząd wolnościowy. Jednocześnie po rewolucji zaczęto czynić pewne oszczędności, wojna się przedłużała, wydatki nowego rządu coraz się zwiększały i organizacje społeczne przeważnie musiały radzić sobie swemi siłami, i tu właśnie kolonje stałe polskie, rozsiane po całej Rosji, wykazały największą ofiarność i czyn obywatelski względem przybyłych wygnańców. Jednocześnie wzmagał się ruch narodowo - polityczny wśród całego społeczeństwa polskiego, zabłysły nadzieje, zabiły serca do kraju, do odbudowy Polski, zawrzało życie polityczno-społeczne, czego było tyle dowodów i poświęceń — tworzenie związków i zrzeszeń Polaków w Rosji, zjazdy, ankiety, formacje wojskowe, przedstawicielstwa polskie w Rosji i na Ukrainie i t. d.

Lecz nadszedł III okres walk i zwycięstw komunistów, ujęcie władzy w ręce rządu sowietów w listopadzie 1917 r. Sowiety odrazu zaczęły uważać kwestję „bieżeńców“ jako sprawę polityczną i agitacyjną dla idei komunistycznych, a więc ściganie organizacji ratowniczych polskich i oddzielnie ich członków, organizowanie rad wygnańczych, komisji dla jeńców i wygnańców, rozsianych po wszystkich większych punktach pogranicza, oraz w dużych miastach Rosji z centralą w Moskwie (Centro-plen-bież), tępienie burżuazji i inteligencji polskiej i propaganda komunistyczna z uwzględnieniem krytyki gospodarczo-społecznej sfer rządowych. Odtąd zapomogi rządowe dla wygnańców, tak zwane „pajki“, były wstrzymywane i wydawane wyłącznie za poświadczeniem „rad wygnańczych“. Stało się to, czego należało oczekiwać: do rad wygnańczych przyszły osobniki społeczeństwa mało znane, przeważnie nieinteligentne, od których zależało „życie“ wielu tysięcy Polaków, ludzi zaś wypowiadających niezadowolenie z rządów rad wygnańczych lub krytycznie się stosujących do obecnego rządu, pozbawiano racji żywnościowych i zapomóg, ścigano, a nawet więziono.

Kwestja powrotu do kraju stała się marzeniem wszystkich.

Powrót do kraju.

„Powrót do ojczyzny“. Znaczenie tych słów ten tylko zrozumieć może, kto sam zaznał tej niedoli i niewoli, kto sam tego powrotu z upragnieniem i tęsknotą oczekiwał.

Po zawarciu pokoju przez rząd sowietów w Brześciu Lit., na wiosnę 1918 r. zaczął się żywiołowy ruch wygnańców ku linji demarkacyjnej. Większe grupy wygnańców wysyłały swych delegatów do Witebska, Siebieża, Briańska i przeważnie Orszy, aby zbadali sprawę przedostania się na drugą stronę kordonu i powrotu do kraju. Odtąd wpływy niemieckie zaważyły na szali repatrjacji Polaków do kraju. Za linję demarkacyjną Niemcy wpuszczali według swego uznania, względnie wpływów tych lub innych czynników politycznych — Rady Regencyjnej, poselstwa niemieckiego w Moskwie, Centro-plen-bieżu, przedstawicielstwa ukraińskiego, ściśle kontrolując przejezdnych, transportując kontrrewolucjonistów rosyjskich i burżuazję. Pociągi niemieckie „z jeńcami“ były naładowane towarami łokciowymi, skórą, miechami, cukrem i t. d., następnie osobami prywatnemi, różnymi handlarzami niemieckimi i żydowskimi i jakąś ilością prawdziwych jeńców. Niemcy wywozili z Rosji starannie swych rodaków, i jakby się śpieszyli z odtransportowywaniem jeńców — widocznie nie byli już pewni, że będą mogli na długo zagospodarować się w Moskwie. Mianowany przez Radę Regencyjną przedstawicielem Polski na Rosję A. Lednicki starał się, co mógł, wpływami swemi uzyskać dla rodaków.

Na zwołanem przez prezesa A. Lednickiego, po powrocie z Warszawy zebraniu w Moskwie przedstawicieli wszystkich organizacji polskich, prezes oznajmił w ogólnych zarysach o stanie kraju, o życzeniach Rady Regencyjnej co do reewakuacji Polaków do kraju, aby powrót do kraju odbywał się planowo i mając na myśli opłakany stan kraju, żeby wpierw podążały jednostki zabezpieczone materjalnie; na pytanie poszczególnych członków zebrania prezes udzielał warunkowych odpowiedzi; tak co do lekarzy wskazał, że rozumie się, iż są potrzebni w kraju i zalecił wysłać szczegółowy wykaz doktorów, którzy by chcieli powrócić do kraju, w celu przesłania do Departamentu Zdrowia Publicznego w Warszawie; to samo tyczyło się innych fachowców.

Z wysłaniem transportów, organizowanych przez Centro-plen-bież, zwlekano; tygodniami naładowane pociągi stały na linjach kolejowych, ludzie tracili wszelką nadzieję i na własne ryzyko przedostawali się ku granicy ówczesnej niemieckiej. Równocześnie ruch żywiołowy wygnańców ze wszystkich stron Rosji podążał ku linji demarka-

cyjnej; okolice Orszy, Siebieża, Witebska, Briańska przepełnione były powracającymi uchodźcami. Znany jest fakt, iż z okolicy Moskiewskiej, a nawet Saratowskiej gub. wygnańcy końmi na wozach dotarli drogą kołową do Orszy.

Życzenia platoniczne Rady Regencyjnej, aby reewakuacja do kraju odbywała się stopniowo i według pewnej recepty — wpierw obywatele ziemscy, rolnicy, następnie kolejarze, technicy i t. d., to jest najprzód ludzie zamożni, mogący się utrzymać z własnej gotówki lub mających jakąś posiadłość w kraju — nie mogły się utrzymać; ruch wygnańczy przybrał wielkie rozmiary, katastrofa była nieunikniona.

W Orszy, gdzie „gros“ wygnańców się skupiło, było tak wielkie skupisko ludzi, że nie było mowy o jakiejś planowej reewakuacji, a ludzie byli tak podrażnieni i zniecierpliwieni, że nieważając na druty kolczaste i strzały straży niemieckiej w nocy, z narażeniem życia przedostawali się na drugą stronę, mieszkali pod gołem niebem, w namiotach z gałęzi i liści urządzonych, lub wprost pod drzewami, i kto mógł, pod wozami.

Do tego dołączyły się choroby — czerwonka i tyfus brzuszny, plamisty, które zabrały mnóstwo ofiar wśród wygnańców.

Orsza w maju 1918 roku, to istne piekło. — Trzeba było dużo sił i nerwów, aby wytrwać. Tu niezapomniane usługi dla wygnańców okazał p. Edward Zaleski, jako pełnomocnik przedstawicielstwa polskiego na Rosję, a jednocześnie komisarz Rady Regencyjnej. O ostatnim rząd sowiecki nie wiedział, bo by go napewno dawno stamtąd usunął. Również należy podkreślić pomoc Związku Miast, który nie stanął na stanowisku innych organizacji, zajmujących się „sabotażem“ Rządu Sowietów, mając na myśli pomoc wygnańcom żywnościową i sanitarną i kierując się zasadą polityczną przyjścia z pomocą ludności polskiej, może w najcięższych chwilach jego pobytu w Rosji. Delegacja z przedstawicieli Związku Miast i Związku Ziemstw oraz rządu sowietów udała się w celu zbadania warunków, w jakich się znajdują wygnańcy i jeńcy poza linją kordonu po stronie niemieckiej, oraz wyjaśnienia racjonalnych form ewakuacji i omówienia tej sprawy z miarodajnymi czynnikami niemieckimi.

Delegacja zwiedziła Mińsk, Baranowicze, Mołodeczno, nie zwracając uwagi na czynione trudności przez władze niemieckie — szczegółowo zbadała sprawę ją obchodzącą, poczyniła już na miejscu swe uwagi i niewątpliwie swoim pobytem w obozach dla wygnańców i jeńców przyczyniła się do postawienia całego szeregu powstańców.

Stan powyższy trwał do późnej jesieni roku 1918, aż do rewolucji w Niemczech. Eszelony z wygnańcami od czasu do czasu z wielkiemi trudnościami docierały do linji demarkacyjnej, ogromna większość uchodźców na własne ryzyko jechała przeważnie do Orszy. Według obliczeń komisarza polskiego w Orszy, E. Zaleskiego, przez wszystkie punkty pograniczne przejechało i przeszło — właściwie mówiąc, przedostało się za linję demarkacyjną wygnańców Polaków do 600,000.

(D. n.). *Dr. Wacław Gawłowski.*

Polityka importowo-eksportowa Państwa Polskiego.

II.

Jak powiedzieliśmy, ciężar polityki przywozowo-wywozowej przeniesiono na cła. Otóż rozporządzeniem Min. Skarbu oraz Min. Przemysłu i Handlu z 23 czerwca 1921 r. w przedmiocie podwyższenia dopłaty do cła na towary o charakterze zbytkownym i na pozostałe towary zostało podniesione agio od cła na towary zbytkowne z 14.900% do 19.900%. (Dziennik Ustaw Nr. 57, § 366). Ponieważ jednak w owym czasie marka polska znajdowała się w stadjum ciągłej deprecjacji, na skutek rozporządzenia Ministra Skarbu oraz Przemysłu i Handlu z 21 sierpnia 1921 r. wysokość dopłaty do cła podniesiono z 19.900% do 29.900% (Dziennik Ustaw Nr. 75) i ostatnio ustalono agio od cła na towary zbytkowne 79.900% (mnożnik stawek celnych 800) (Dziennik Ustaw, Nr. 85 § 617). Wysokość dopłaty od cła na inne towary wynosi obecnie 39.900% (mnożnik stawek celnych 400). Szczegółowy wykaz towarów, przywóz których jest zabroniony, został ogłoszony w Monitorze Polskim z dn. 5 września r. b., a jednocześnie została zniesiona moc obowiązująca poprzednich obwieszczeń z dn. 12. V. 1920 (Monitor Polski Nr. 107 z 1920 r.) oraz z dnia 19. VI. 1920 (Monitor Polski Nr. 154 z 1920 r.) W tymże numerze z 5 września „Monitora Polskiego“ ukazało się również rozporządzenie z dn. 18.VIII.1921 w przedmiocie ulg celnych, na mocy którego wyszczególnione w nim towary zostały zwolnione od dopłaty walutowej (agia). Są to niektóre artykuły żywnościowe (mąka, warzywa, mięso gotowane i t. p.), niektóre artykuły chemiczne, maszyny i narzędzia rolnicze, wagony, papier drukarski, przędza z szerści wielbłądzie, i t. p.

We wspomnianem rozporządzeniu wyliczone są również towary, opłacające cło normalne z dopłatą walutową (agio)—900% (czyli mnożnik 10). Są to m. in. tytoń, niektóre skóry, azbest, cegły, niektóre wyroby przemysłu żelaznego, metalowego, przędza bawełniana i t. p.

Wyżej wspomniane rozporządzenia nie rozwiązują całego kompleksu zagadnień, związanych z zagraniczną polityką handlową Rządu naszego. Do tej chwili jeszcze nie uregulowano wielu spraw, związanych z wywozem nafty i produktów naftowych, drzewa, jaj i t. p.

Odnośnie do nafty należy podnieść, iż przemysłowcy naftowi żądają zniesienia wszelkich formalności wywozowych, rewizji opłat eksportowych oraz zwolnienia ich od obowiązku składania walut eksportowych na rzecz Skarbu Państwa.

Przemysłowcy drzewni domagają się uregulowania kompetencji poszczególnych urzędów odnośnie do sprawy wywozu drzewa. Obecnie bowiem w sferę eksportu drzewnego ingeruje jednocześnie kilka Urzędów, że wskażemy na Minist. Roln. i Dóbr Państw., Min. Robót Publ., Minist. Kolei Żelaznych i Minist. Przemysłu i Handlu, wzgl. Główny Urząd Przywozu i Wowozu. Szczególnie utrudnia wywóz drzewa, stanowisko Głównej Komisji Rozdziału drzewa. która działając w interesie

odbudowy zniszczonych siedzib ludzkich z mocy swej ustawy, sekwestruje 1/3 część wyeksplontowanego drzewa użytkowego. Celem silniejszego zabezpieczenia owej części Główna Komisja zezwala na dowolne rozporządzenie się pozostałemi 2/3 dopiero wtedy, kiedy wspomniana 1/3 już została dostarczona.

Ponieważ w większości wypadków ani właściciel poręby nie jest w stanie zdać z góry żądanego zapasu, ani nawet Komisja nie jest w stanie nietylko zużytkować, ale i przyjąć tego zapasu, aż w nadto wielu wypadkach przestrzenie, przeznaczone na poręby, zgoła nie są eksploatowane, czego konsekwencją jest nietylko zmniejszanie się eksportu, ale i brak materjałów leśnych dla potrzeb miejscowych.

Niedawno na Zjeździe przemysłowców leśnych wskazano również, iż zaprzestanie udzielania na skutek interwencji Min. Kolei Żelaznych pozwoleń na wywóz progów kolejowych nietylko nie ułatwiło kolejom nabywania podkładów, ale raczej spowodowało brak takowych na rynku drzewnym. Przemysłowcy bowiem leśni, nie mogąc sprzedawać podkładów zagranicy po cenach wysokich, całkowicie zaprzestali je wyrabiać. To samo można powiedzieć o zakazie wywozu drzewa papierniczego oraz osiki zapałkowej.

Te i t. p. sprawy wymagają jeszcze uregulowania, co też niewątpliwie nastąpi, przy uwzględnianiu zarówno interesów państwowych, jak i interesów producentów.

Zniesienie reglamentacji przywozu i wywozu zostało powitane przez społeczeństwo z największem uznaniem. Nawiązywanie stosunków handlowych z zagranicą o tyle ułatwiono, iż zniesiono przykre wyjednywanie pozwoleń przywozowych i wywozowych, będących zaporą dla ożywienia handlu z zagranicą. Rząd dopiero teraz zrozumiał, że jeżeli chodzi o ochronę przemysłu rodzimego, racjonalnie prowadzona polityka celna całkowicie może zastąpić skomplikowany i kosztowny system reglamentacji i do tych samych celów prowadzić. Pobieranie wysokich ceł od towarów, których przywóz mógłby zaszkodzić zarówno rozwojowi przemysłu krajowego, jak i walucie, szczególnie usprawiedliwione jest w krajach, posiadających walutę nizkowartościową.

Wszystkie te kraje stale podwyższają opłaty celne, w miarę spadku waluty i odpowiednio do sytuacji gospodarczej. Tak więc Niemcy wymagają dopłaty (agia), począwszy od listopada r. 1920, w wysokości 900%, Gdańsk od 7 maja r. b. od 700 do 900%, Austrja od 15 kwietnia r. b. 8.000% i od maja r. b. 10.000 do 13.000%, Węgry od 1 kwietnia r. b. 11.000 do 33.000%, Bułgarja od 1 stycznia r. b. 900%.

Omówione wyżej zarządzenia Rządu polskiego niewątpliwie zapoczątkują okres zdrowej polityki handlowej i będą prawdopodobnie uznane za racjonalne również przez sfery handlowe zagraniczne, w pewnym stopniu zniechęcone do nawiązania z nami stosunków handlowych z powodu trudności, z jakiemi na każdym kroku były zmuszone walczyć.

Leon Pączewski.

Nowe czasopismo.

W miejsce zwiniętego w czerwcu „Nowego Przeglądu Literatury i Sztuki", zaczął od października wychodzić miesięcznik „Przegląd Warszawski", nakładem Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska". Redakcyjne czteroosobowe kolegjum Nowego Przeglądu, złożone z odpowiedzialnych nazwisk Żeromskiego, Staffa, Berenta i Władysława Kościelskiego, zastąpił dr. Wacław Borowy, bardzo bystry i głęboki badacz naszych spraw literackich, a jak się okazało, doskonały kierownik wydawnictwa. Odbiegło ono niewątpliwie od linji Nowego Przeglądu skutkiem ograniczenia działu twórczego, rozszerzenia natomiast krytyczno-artystycznego, uwzględnienia sfery zagadnień z zakresu kultury humanistycznej i rozszerzenia ram dla kronik ruchu naukowego, wogóle oświatowego. Powiedzmy szczerze: owe „kroniki" podobnie zastosowane, jak w wstępnym zeszycie, są bezcennym nabytkiem, czasem nawet inwentaryzacją uwag obcych o nas, są zwierciadłem zmagania się duszy polskiej celem odrobienia wojennych zaniedbań. Bo chociaż część koncepcyjna zawarła rzeczy piękne i sumienne w rodzaju Kołaczkowskiego uwag „O Prostocie", Chrzanowskiego studjum, dotyczące podobieństwa między pewnemi ustępami trzeciej części „Dziadów" a „Boską Komedją", E. Kucharskiego o jabłoni gwiazd w „Anhellim", dalej gładko, nieco odczytowo nakreśloną rozprawę Folkierskiego na temat Dantego, — chociaż znalazła w niej schronienie nowela szczerego talentu Małaczewskiego i wysoce nastrojowa impresja Orkana „Nad morzem polskiem", — to jednak „Kronika" zdobywa z miejsca czytelnika przepychem różnorodności i bogactwem informacji. Czego tam niema! Historja, powieść, beletrystyka, przekłady z języków obcych, literatura, poezja!... Kto zapragnie wiedzieć, jak apatycznie odnosi się nasz ogół, a z nim prasa, do ludzi twórczych, niech przeczyta w rubryce „Cudzoziemcy o Polsce i Polakach" głosy niemieckie na cześć Rittnera. Czy nad Sprewą czy nad Menem czy nad Dunajem, uderzyły dzienniki w ton niesfałszowanego sentymentu, wystąpiły z dużemi, pożegnalnemi wspomnieniami, z analizami świetnemi, czasem porywającemi. U nas? Chwilami musi twarz okrasić rumieniec wstydu. Jakieś płytkie szablony, prawie z bajecznym wyjątkiem miałkie określenia, gawędy dla gawędy, bez podania nawet dokładnej spuścizny nieboszczyka. To przyswajanie nam echa cudzoziemskiego prowadzi w innym wypadku do zdumiewających odkryć. Z okazji wystawy sztuki naszej w Paryżu recenzent *Revue Bleu* mówi: „Matejko, artysta urzędowy, zajmujący tu salę, stracił dziś całą swą znakomitość!..." Sprawozdawca zaś *Excelsiora* nazwał płótna genjalnego mistrza „solidną robotą, świadczącą o niewątpliwej umiejętności..." Wzruszyć ramionami. Dlatego właśnie, że należy wzruszać ramionami i potem wziąć się do przeciwdziałania nonsensom, będzie miał *Przegląd Warszawski* trwały tytuł do wdzięczności, pośrednicząc w rejestrowaniu podobnie naiwnych faktów zwłaszcza w czasie, gdy z powodu drożyzny cudzoziemskich wydawnictw, siedzimy niby pod hermetycznym kloszem wraz z sumieniem naszem naukowem, zaryglowanem przed dopływem obcej myśli. — W rubryce „Zabytki artystyczne" przechodzi p. Alfred Lauterbach kwestję odnawiania w Warszawie historycznych, uświęconych tradycją gmachów. Napomykając o obecnej restauracji Pałacu Namiestni-

kowskiego, sprzeciwia się autor zamierzonemu umieszczeniu na placu przed nim pomnika Józefa Poniatowskiego, dłuta Bertla Thorvaldsena. Ciężka *moles* hotelu Bristol i konieczność stworzenia tła z zieleni, któraby przesłoniła fasadę gmachu, stanowczo nie sprzyjają przedsięwzięciu. Nie wdając się w tej chwili w słuszność argumentu, podniesionego, bądź co bądź, przez siłę kompetentną, podkreślić wszakże trzeba, że niepodobna zgodzić się na inicjatywę autora, aby konna statua księcia Pepi stanęła w miejscu „bardziej zacisznem i zamkniętem, np. w podwórzu zamku." Prawda, że dzieło duńskiego rzeźbiarza nie przemówi do patrjotycznych uczuć publiczności, — jednakże oprócz nich istnieją jeszcze walory artystyczne, historyczne i t. d. Aczkolwiek pomnik jest bliźniaczo pokrewnym Markowi Aureljuszowi na Kapitolu rzymskim, wyszedł z pod dłuta światowej sławy dzięki ofiarności całego społeczeństwa, zwłaszcza polsko-napoleońskich oficerów i żołnierzy. Jeżeli taka znakomitość i pierwszorzędność, jak Adam Idźkowski, miał dlań pod wielu względami akcent zachwytu, a z nim i wielu współczesnych, nie można dzieła nakrywać i spychać go w dziedzińce, aby w nich pokutowało w odludziu, jak niegdyś w podziemiach Modlina, wywiezione z powodu przestrachu najeźdźcy moskiewskiego, aby spiżowy bohater Elstery nie był symbolem czujnym i ostrzegawczym. Zresztą Warszawa niema na otwartych przestrzeniach ładnych pomników. Najartystyczniejszy, posąg Paskiewicza Erywańskiego, zeszedł na szczęście z piedestału. Thorvaldsena praca nie będzie zakałą, — tylko ozdobą, odpowiednikiem do Kopernika przed domem Staszica. Nauka i oręż zesymbolizują wielkość naszej przeszłości. — W różnych wzmiankach o wstępnym zeszycie „Przeglądu Warszawskiego" powiedziano, — że idzie w ślady „Bibljoteki Warszawskiej" i „Ateneum". — To nie. Analogje są tylko częściowo trafne. Idzie własną widocznie drogą, jest zapowiedzią skutecznego wskrzeszenia poważnego czasopiśmiennictwa perjodycznego, wnosi światło w mroki, otulające umysłowość doby dzisiejszej.

E. Ł.

Piśmiennictwo polskie.

Edward Boye: „Sandał skrzydlaty". Nakładem Spółki wydawniczej „Vita Nuova".

„Sandał skrzydlaty" to wyrywanie się młodego poety w sfery natchnień „z szarej godziny zwątpienia, z prochu przyziemnych dróg"; to próby „stania na owem przedmurzu, gdzie chaos z rąk poety bierze kształt istnienia". A choć ma chwilę zwątpień, w których pyta „bezradnie i chmurnie, czy dalej żyć mu i tworzyć jest warto?" — wierzy jednakże —

„że jedno jest w wszechświecie prawo
„Dla serca, róż i ludzi: mrzeć w jesień złotawą,
„A później zmartwychwstawać i kwitnąć na nowo".

Życzyć też należy młodemu poecie utrwalenia tej świętej wiary w potęgę wciąż odradzającej się natchnionej twórczości, której wyrazem oby były następne dzieła niezaprzeczonego jego talentu.

R. C—ski.

Józef Nusbaum-Hilarowicz: „Pamiętniki przyrodnika". Autobiografja. Lwów 1921. H. Altenberg. Księgarnia wydawnicza we Lwowie, str. 152.

Dziesięć lat upływa od chwili, gdy w auli Uniwersytetu lwowskiego obchodzono uroczyście jubileusz 30-letniej pracy naukowej i piśmienniczej prof. d-ra Józefa Nusbauma - Hilarowicza. Czterdziestą rocznicę, której zmarły w r. 1917 znakomity uczony nie doczekał, uczczono wydaniem jego pamiętników. Wspomnienia te obejmują okres lat 1863 — 1916 i działy następujące: Lata dzieciństwa. Gimnazjum. Czasy uniwersyteckie. Pobyt w Paryżu i Bretanji. Praca naukowa w Warszawie. Katedra w Uniwersytecie lwowskim. Wyjazdy do Włoch i na Rivierę. Uczniowie. Czasy inwazji rosyjskiej we Lwowie i pobyt w Warszawie w r. 1916.

Pamiętniki obok wspomnień osobistych zawierają mnóstwo szczegółów, dotyczących historji nauki w Polsce i uwag na temat warunków pracy naukowej, stosunku profesorów do uczniów, metody wykładów i t. d. Autobiografja uczonego, który stworzył całą szkołę biologów polskich i był bezpośrednim nauczycielem i wychowawcą prawie wszystkich zoologów i anatomów, zajmujących katedry akademickie w Polsce dzisiejszej, łączy się jaknajściślej z dziejami całego okresu w historji nauk przyrodniczych u nas.

Skamander, miesięcznik poetycki za lipiec—październik, zawiera utwory plejady najmłodszych naszych poetów, zapisanych chlubnie na kartach współczesnego parnasu. Wiersze Wierzyńskiego, Słonimskiego, Maykowskiego wnoszą na wskroś oryginalny ton, na wskroś niepospolite odczucia świata wewnętrznego i zewnętrznego, które w drobiazgach Lechonia, w ślicznej „Modlitwie" tętnią nieposzlakowanym liryzmem. Męskość o szerokim geście drużyny Skamandrowców wygłasza w sześciu dwuwierszach Tuwim w sposób realistyczny:

Ciała, cieczą i miazgą napęczniałe,
Wystawiamy pod żądła wspaniałe.

I nabici tym soczystym miąższem
Szalejemy od złotych ukąszeń.

Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy Mieczysław Rytard wystąpili z wstępną częścią powieści: „Jack, Isy i Sasza". Tomik poezji Przysieckiego „Śpiew w ciemności" poddał gruntownemu rozbiorowi Emil Breiter. Autor „Konia na wzgórzu", Eugenjusz Małaczewski, okazał się w postaci plastyka-poety w rymowanym drobiazgu „Komary i gwiazdy". Są w nim bardzo ładne, prawie epiczne pociągnięcia przy opisie natury, tchnące najszczerszą prostotą.

Feliks Gwiżdż — „Kośba". Warszawa, 1921 r.

Zapewne, tom poezji Feliksa Gwiżdża słabo związany jest z nastrojami, nurtującymi współczesną epokę, z nastrojami wielkich miast, pełnych gwaru i turkotu przebiegających aut i dorożek. Zapewne, tom ten nie przynosi również żadnych poszukiwań, ani nie wnosi do skarbca poezji nowych wartości, powstałych z pewnego wysiłku twórczego. Nie ulega jednak wątpliwości, że „Kośba" ujmie niejednego czytelnika bezpośredniością odczucia nastrojów, chwy-

tanych wprost na gorąco i niepozbawionych dzięki temu podkładu szczerości i rzewnego liryzmu. Zresztą sam autor zdaje sobie sprawę z nierówności, zawartych w tomie tym utworów, skoro w przedmowie pisze:

„Są one częścią dorobku autora, który od sierpnia 1914 r. aż dotąd, tylko dorywczo mógł sobie pozwolić na rozkosze twórcze. Wskutek tego znajdą się tu zapewne rzeczy i nierówne i samemu autorowi poniekąd obce!“

Tych słów kilka tłómaczy w zupełności, czemu w „Kośbie“ obok rzeczy bezsprzecznie cennych, jak „Nad Stochodem“, gdzie bezpośredniość idzie w zawody o lepsze z siłą odtworzenia nurtujących zagadnień metafizycznych, znalazły się również rzeczy o całe niebo słabsze i nic nie mówiące. Odnoszę wrażenie, że „Kośbą“ pragnie poeta nawiązać poniekąd zerwaną przed laty nić łączności z literaturą ojczystą. I dlatego czuję się w obowiązku podkreślić nieprzemijającą wartość takich utworów, jak „Gody“, „Przed mą ziemianką“, „Wesoły dzień nam nastał“ i wreszcie wspomniany już przezemnie wiersz „Nad Stochodem“, który zaliczam do najwybitniejszych utworów poetyckich czasu wojny.

Aby dać czytelnikowi pojęcie o istotnej wartości tego wiersza, przytaczam zeń zakończenie:

„Ni naprzód iść mi teraz,
ni cofać mi się w tył.
Zda mi się, żem tu dawno,
w prawiekach jeszcze był...
Zda mi się, żem zbłąkaniec,
żem Kain, brata wróg —
żem pobudował szaniec
naprzeciw, gdzie stał Bóg!
Żem z poza tego szańca
szedł w boje poprzez wieki,
aż mnie doścignął Los
nad wodą martwej rzeki“.

E. K.

Czasopisma.

Przeglądu Dyplomatycznego ukazał się № 9 - 10, zawierający treść następującą: Konferencja waszyngtońska. Ustawodawstwo antypolskie Litwy Kowieńskiej. Organizacja emigracji. Sprawozdanie emigracji.

L'Europa Orientale.

Zeszyt IV, wrześniowy, miesięcznika rzymskiego „L'Europa Orientale“ zawiera: Julji Dicksteinówny studjum p. t. „La fortuna di Dante in Polonia“ (Koleje Dantego w Polsce). Notatki o Szewczence jako artyście i krytyku (T. Sawczenko). Literatura włoska w Czechosłowacji: przekłady Vrchlikiego (Giani Stuparich). Sytuacja Europy Wschodniej w d. 1 września 1921 r. (A. Giannini). Łotwa pod względem ekonomicznym. Głód w Rosji i jego polityczne skutki (I. Grynczenko). W kronice polityczno-ekonomicznej krótki artykuł o stosunkach polsko-czeskich. Kronika kulturalna. Sprawozdania i wiadomości polityczne.

Książki nadesłane do redakcji.

Wydawnictwa M. Arcta w Warszawie.

H. Boguszewska. „Patrz dokoła!“ Pogadanki przyrodnicze dla oddziału III-go szkoły powszechnej. Cz. I. Wyd. III. Str. 80. Ryc. 36.

H. Galle. „Przy pracy.“ Wypisy dla szkół zawodowych. Wyd. II. Str. 228.

Z. Szczawiński. „Zadania maturalne z matematyki.“ Str. 40.

Prof. Dr. A. Szelągowski. „Dzieje powszechne.“ Cz. IV. „Dzieje nowoczesne.“ Str. 268.

St. Thomas. „Rachunki.“ Zbiór zadań i przykładów arytmetycznych. Cz. IV. Kurs klasy czwartej szkół powszechnych.

SPROSTOWANIE.

W artykule E. Łunińskiego (№ 46, z 19 listopada) p. t. „O współudział inteligencji“ zakradł się chochlik skutkiem niedopatrzenia korrektorskiego. Na kolumnie czwartej, piąty wiersz od góry, powinno być zamiast „aniołów brukowych“ — „aniołów biurowych“. W wierszu zaś piętnastym, również od góry, opuszczono słowo „początkowo“ tak, że sens brzmi: „gdzie początkowo cały szereg dyplomatów“ i t. d.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi od 1-go października **miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **30 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA“, KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.